◆ WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI ◆ ROGER VAILLAND ◆ WIKTOR WOROSZYLSKI ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 5 grudnia 1948 r. — Nr 49 (210)

EUZEBIUSZ ŁOPACIŃSKI

Na życzenie autora drukujemy poniższy artykuł bez poprawek stylistycznych i redakcyjnych.

FAŁSZYWY MESJASZ NARODU POLSKIEGO

Romantyczny kierunek ogarnął nie tylko polską poezję, doprowadzając do jej wspaniałego rozkwitu, ale wszystkie dziedziny życia polskiego, szczególnie na emigracji. Na tym to podłożu wykluło się ironiczne, lecz jakże słuszne powiedzenie pewnego Anglika, że Polacy to poeci w polityce, a politycy w poezji.

Mesjaniczne mrzonki o wybraństwie Narodu Polskiego, o jego nadzwyczajnych niespotykanych u innych narodów cnotach, zaletach i zdolnościach pokutowały od dawnych wieków u naszych pisarzy. — Zaczerpnęli oni je ze Starego Testamentu. — Mistyczne postaci Machabeuszy i niektórych proroków uderzały do zapalnych łbów szlacheckich.

Znakomity pisarz polityczny, lecz duch niespokojny Stanisław Orzechowski w Quincunxie w XVI w. przedstawia ustrój Polski jako idealny, naród szlachecki jako najzacniejszy, najszlachetniejszy etc. Po nim czyni to cały szereg pisarzy — wszystkich nie sposób wymienić. — Jeszcze dalej idzie ks. Dębołęcki, kapelan Lisowczyków, tych „condotierów", którzy jako najemnicy cesarza Ferdynanda II przeciw Francji, zniszczyli kwitnącą Lotaryngię i Alzację, przedtem zaś Czechy — walczące o niepodległość z tymże monarchą. Ten w „Przewagach Elearów Polskich" (tj. właśnie Lisowczyków) — w superlatywach nad cnotami Polaków — dochodzi wprost do obłędnych konkluzji. Brać szlachecka rozczytywała się w tych niesłychanych dywagacjach, wierząc im święcie.

Od tych megalomańskich poglądów na naród polski nie byli wolni i uczeni: Zorian Chodakowski, ks. Woronicz, a nawet ojciec demokracji polskiej — ks. Staszic.

Gdy wieki przygotowały opinię narodu i należyty nastrój — gdy w dodatku grom rozbiorów uderzył w oszołomiony naród, nic dziwnego, że sięgnięto do lamusa Starego Testamentu — przepowiedni żydowskich proroków, Apokalipsy, dostosowywano je do cierpień narodu polskiego i ogłoszono „*Wybraństwo*" Narodu Polskiego przez Boga. — Wtedy zjawił się opętaniec z Litwy — Towiański, który ogłosił siebie za drugiego Chrystusa, mającego poprowadzić polski naród wybrany ku wolności i doskonałości.

◆

Sto osiem lat upływa, jak na horyzoncie polskim ukazał się ten człowiek, który potrafił swą osobą i swą quasi nauką złożoną z kompilacji wierzeń religijnych, wschodnich misteriów i cudacznych mistycznych elukubracji pewnych filozofów — i oszukańczych proroków — zasugestionować pogrążoną w beznadziejnych swarach i kłótniach emigrację — ściślej znaczną jej ilość — z Mickiewiczem, Słowackim, częściowo Goszczyńskim na czele. Nawet osiwiali w bojach wiarusi poddawali się jego władczej sugestii. Rzesze nieszczęśliwych emigrantów uwierzyły, że stanie się cud — wieszczony — i w terminie przepowiedzianym wyruszą do Ojczyzny. Wyprzedawali się ze wszystkiego. Trwali w oczekiwaniu... A potem — wszystko okazało się humbugiem.

Andrzej Towiański — do wszystkich skłóceń wśród naszej emigracji — dołączył jeszcze jedno skłócenie, co gorzej opętał naszych mistrzów słowa, zatruł ich psychikę, pogrążając w mistycznych fantazjach. Jaki pożytek osiągnął naród z jego pseudo-nauki? Śmiało można odpowiedzieć — żaden. Jakich ma dzisiaj wyznawców? Była jakaś garstka przed wojną z jego potomkiem Kulwieciem w Bydgoszczy. Żyje dotąd dr Horoszkiewiczówna żarliwa i fanatyczna jego zwolenniczka. Śladu u nas nie pozostawił. Natomiast w Turynie i Zurychu istnieją dwie grupy włoska i szwajcarska, tworzące rodzaj gmin. Entuzjastycznym biografem i uczniem jego nauki był prof. włoski Tancredo Canonico, który opierał się głównie na opowiadaniach jego zwolenników, lub jego własnych — jak się okazało — bezgranicznie kłamliwych wynurzeniach. Adeptem jego nauki był też adwokat włoski Begey i jego córka, która przyjeżdżała przed wojną do Wilna w poszukiwaniach materiałów o nim. — Nauka Towiańskiego nie przyjęła się w narodzie polskim, chociaż z niej narodził się mesjanizm — koncepcja Cieszkowskiego i wieszcza Adama, i wreszcie głównie ten izolacjonizm duchowy narodu polskiego, w szczególności myśli politycznej od reszty Europy, narodu, który widział w *nierządzie* swe zbawienie — swe summum bonum. Do tego dołączyło się po Unii Polski z Litwą bezsprzeczne zarażenie mistycyzmem gnieżdżącym się od wieków na rubieżnych, bezbrzeżnych, rozlewnych stepach i przepastnych puszczach i uroczyskach leśnych; jest również mieszanina powierzchownego kultu cudzoziemszczyzny z stokroć większą nieuzasadnioną niczym pychą narodową. Tak było za czasów niepodległości! Po rozbiorach jeszcze się bardziej to powiększyło, wprost do cudacznego określenia Polski jako „Chrystusa Narodów", jak gdyby męki narodu naszego pod obcym jarzmem były najdłuższe i największe, gdy powszechnie wiadomo, jak długo trwała niewola pobratymców Serbów, Bułgarów a nawet Czechów, lub Greków, nie mówiąc o Żydach, którzy najwięcej cierpieli. Zresztą właśnie od nich zaczerpnęli nasi trzej wieszczowie i poeci, a szczególnie Towiański, podłoże do swych mistycznych dywagacyj, nie wytrzymujących krytyki zdrowego rozsądku. Tu zaś nie mogło być wiary szczególnie gdy się to działo w XIX wieku. Była to jakaś zastępcza wiara! Zresztą co prawda i w Niemczech i we Francji i gdzie indziej roiło się od znachorów metafizycznych i proroków-oszustów, głoszących koniec świata, i słuchanych nie tyle przez rzesze naiwnych, co garstkę intelektualistów i literatów, poetów, ba nawet księży. Wśród nich nie mogło zabraknąć Polaków, którzy zawsze skłonni byli do mistycyzmu, zwłaszcza ci ze wschodnich rubieży Polski.

Osoba Andrzeja Towiańskiego dotąd została mało zbadana, chociaż b. dużo pisarzy zajmowało się jego postacią. Wszyscy jednak opierali się na jego wynurzeniach osobistych, dość skąpych i mało uchwytnych oraz relacjach rozmaitych adeptów lub ex-adeptów, a także na biografii superlatywnej, bałwochwalczej senatora włoskiego i fanatycznego ucznia, prof. Tancredo Canonico. My zaś przedstawimy tutaj *szereg faktów* na zasadzie dokumentów archiwalnych z wileńskiego archiwum państwowego, co da możność bezstronnemu czytelnikowi ocenić najlepiej rozbieżność czynów Towiańskiego z wynurzeniami osobistymi oraz jawne kłamstwa w biografiach bezkrytycznie podawane. Dla uniknięcia nieporozumień muszę dodać, że artykuł dr. Waleriana Charkiewicza ogłoszony w r. 1934 w *Wiadomościach Literackich*. „Mistrz Andrzej i Makryna Mieczysławska" opierał się na materiałach dostarczonych mu przeze mnie, lecz nie wykorzystanych całkowicie, a co gorsza nie podał on ich in extenso, co by uniemożliwiło nowoczesnej adeptce Towiańskiego dr Horoszkiewiczównie wystąpienie z mniemaną refutacją zarzutów; poza tym i potem znalazłem jeszcze cały szereg dokumentów nowych. Dla ułatwienia i drastyczniejszego uwypuklenia błędnych informacyj podanych przez piszących o Towiańskim, nie obznajmionym dokładnie z literaturą o nim, podamy relacje jego biografów, o charakterze i faktach z życia jego — a następnie dowody oparte na niezbitych dokumentach archiwalnych, obalających radykalnie piękne frazesy o jego osobie.

Zajmiemy się przede wszystkim następującymi epizodami z życia Towiańskiego: po pierwsze jego wizjami, po drugie — wyjazdem jego do Francji na służbę Bożą, związanym z jednym z widzeń, po trzecie — mniemanym patriotyzmem, po czwarte — stosunkiem do rodziców, dzieci i pewnych osób, po piąte — stosunkiem do ludu, po szóste wreszcie — misją. Co do rozmaitych „wizji", które ukazywały się Towiańskiemu, to jakoby doznawał ich już jako mały chłopak, lecz bliższych danych o tym nie mamy, wiemy to tylko z jego własnych słów, w każdym razie wizje te dowodziłyby pobudliwości nerwowej, fantazji wybujałej i skłonności do histerii. Nie pierwszy to osobnik i zapewne nie ostatni, któremu się ukazywały widzenia, lecz tylko znikoma garstka obłąkańców-psychopatów uważa to za znak Boga powołującego danego osobnika do misji reformowania świata. Prawdziwi reformatorzy nie potrzebują uciekać się do tych histerycznych wybiegów. Są też oszuści posługujący się widzeniami dla wyciągnięcia od naiwnych grosza. W każdym razie — miał Towiański prekursorów: Boehmego, rodem ze Zgorzelic, którego coś tknęło i Bóg mu się objawił, gdy spojrzał na cynowe naczynie na oknie, lub Swedenborga, tkóry w późnym wieku zaczął miewać swe serie widzeń i objawień (zwykle zdarza się to u młodszych osobników lub u kobiet), — później doszedł ten uczony inżynier, autor dzieł licznych z dziedziny fizyki, chemii i w ogóle nauk ścisłych, członek kilku akademii, do obcowania z duchami osób zmarłych, z aniołami, a wreszcie i z samym Bogiem! Wszystkich nie potrafiłbym wyliczyć. Dziwić się jemu nie należy, natomiast dziwić się należy szeregowi inteligentnych ludzi z wieszczami i poetami na czele, którzy zawierzyli Towiańskiemu ślepo i przylgnęli bezkrytycznie. To może tylko wytłumaczyć siła woli Towiańskiego i siła hipnotyczna, którą mistrzowsko władał. — Pierwsza wizja Towiańskiego odbyła się 11 maja 1828 r. w kościele bernardyńskim w Wilnie, następna 11 maja 1839 r., jak podaje prof. Pigoń, powołując się na zapiski Iwanowskiego. — Wreszcie trzecia wizja w kraju w dn. 23 lipca 1840 r., w czasie której Towiański widział biały krzyż na niebie w stronie już zachodniej, a wieczorem tegoż dnia N. Pannę z ręką wyciągniętą do Francji, co miało być sygnałem bożym do wyruszenia na Zachód, na podbój. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że Iwanowski i inni, którzy pisali o wizjach Towiańskiego, słyszeli to *z ust samego wizjonera*, co niekoniecznie świadczy o prawdziwości faktów. Po drugie — ukazywanie się białych krzyżów na niebie jest b. częstym zjawiskiem. Sam obserwowałem takowe kilkakrotnie, jak i wiele innych osób, lecz nikt przy zdrowych zmysłach nie uznał to za jakiś znak szczególny na posłannictwo! Jednakże taka fanatyczna adeptka nauk Towiańskiego dr Walentyna Horoszkiewiczówna w polemice z dr. Charkiewiczem pisze dosłownie: „ponieważ jednak zorza polarna (białe krzyże na niebie to rzadsza jej forma) nie jest bądź co bądź dziełem rąk ludzkich, więc jeśli człowiek wierzący w Boga widzi w niej nie tylko jego dzieło, lecz także narzędzie w ręku Stwórcy dla dania człowiekowi znaku tj. pewnej formy objawienia woli bożej, to *nie ma w tem nic tak bardzo znowuż nienaturalnego*". Do takiego śmiesznego — jeżeli nie gorzej — rozumowania dochodzi w XX w osoba z wyższym wykształceniem. Lecz mniejsza o to — najważniejsze jest to, że Towiański już w lutym roku 1840 składa podanie do generał-gubernatora o paszport zagraniczny — otrzymuje takowy 28 czerwca tegoż roku, a więc ma zamiar udać się na „posłannictwo" na *Zachód na pół roku przed wizją*, — gdyż tylko ta ostatnia wizja może być brana w rachubę, bo inne nie były wymieniane przez Towiańskiego jako znak na wyjazd do Francji. Sądzić zatem należy, że wizji żadnej Towiański nie miał, a wszystko *wymyślił* dla celów wiadomych: obałamucenia ludzi, przy czym uczynił to niesprytnie, gdyż zapomniał kiedy rozpoczął starania o paszport lub może nie wyobrażał sobie, że sprawa terminu paszportu wyjdzie na jaw. Jeżeli jednak stanąć na stanowisku, że wizja istotnie miała miejsce, dowodzi to nie byle jakiego mniemania o sobie, swej doskonałości etc., krótko mówiąc — bezgranicznej pychy — Bóg (w oczach wierzącego — Potęga — a on sam pyłek) zajmuje się dawaniem znaków, jak gdyby telegrafem bez drutu dla jakiegoś przeciętnego szlachciury z Litwy, jako wybrańca, który ma nowe objawienie głosić światu. Do szczytu obłędu pychy doszedł Towiański, gdy tłumaczył generałowi Skrzyneckiemu, że jak Chrystus przyszedł po Mojżeszu w 2000 lat, tak on podług swego rachunku przyszedł w 2000 lat po Chrystusie, aby odżywić świat i że 5 takich Chrystusów jeszcze będzie (por. objas. do nr. 210 Biesiady w Wyborze pism i nauk Towiańskiego). Nie potrzeba żadnych więcej komentarzy. — Reasumując to wszystko, należy stwierdzić, że te wizje Towiańskiego i wiara, iż mają one być znakami powołania jego przez Boga do głoszenia nowej prawdy — dowodzą opętania bezgraniczną pychą, uwielbieniem dla własnej osoby oraz przeświadczeniem o własnej doskonałości. Ta sama pycha i opętańcza wiara w wyjątkową rolę wysłańca Niebios — popchęły go do szeregu niespełnionych proroctw o końcu świata, nadejściu Królestwa Bożego na ziemi, a także katastrofy kosmicznej — w r. 1837; — gdy to się nie spełniło nie wahał się przełożyć termin nastania Królestwa Bożego i powrotu do wolnej Ojczyzny na rok 1844, czym nakłonił rozhisteryzowanych, otumanionych emigrantów do wyprzedawania się, rzucania pracy w oczekiwaniu powrotu. Podobne szalbiercze proroctwa przed nim stosowali rozmaici szalbierze — przed rokiem tysiącznym tzw. *millenariusze* — przepowiadający koniec świata na r. 1000, interpretujący dowolnie Apokalipsę świętego Jana i niektórych proroków żydowskich. Potem Jakub Boehm w 1740 r. komentując dowolnie pismo święte i Apokalipsę Św. Jana powtórne przyjście Chrystusa przepowiadał na r. 1836, podczas gdy inny szalbierz nasz Grabianka wyznaczył to na r. 1835. To samo czynili również Adwentyści, przesuwając termin na rok 1844 i oczekując roku tego z śmiesznym, zabobonnym przejęciem. Znów zwolennicy oszustw Naundorffa, pretendenta do tronu francuskiego, jako uratowanego cudownie Ludwika XVII — wyznaczali r. 1840. Czy nie istna wieża Babel? A było ich więcej. I nasz Towiański nie z własnej głowy wymyślił te daty, zaczerpnął je, jasne jest, od Bengla i Grabianki i tutti quanti. Gdy jednak dwie daty zawiodły — nie wahał się w myśl łacińskiej maksymy „omne trinum perfectum" — trzeci raz tumanić naiwniaków, odkładając termin ten na r. 1850, o czym Goszczyński opowiada w swym dzienniku. Najdziwniejsze, że wszyscy piszący w XIX i XX wieku o Towiańskim zahipnotyzowani pięknymi frazesami przechodzą z lekkim sercem nad jego pychą, graniczącą z obłędem, gdy pozwalał nazywać siebie „le Christ d'Ostende" i oddawać sobie cześć jak posłanemu od Boga lub oszukiwał ludzi — bezczelnymi kłamliwymi proroctwami. Nie mógł tu stosować on hipnotyczno-magnetyzerskich sztuczek jak z Mickiewiczem i innymi, a jednak aura jego widać działała. I prof. Zdziechowski i prof. Pigoń i p. Szerlecka, Gąsiorowska, Giżycki (Gozdawa), Szpotański, Tancredo Canocino, Attillio Begey i inni — piszą o nim z entuzjazmem mniejszym lub większym i interesuje ich co *on mówił*, a nie co *on czynił*. — I to jest niezrozumiałe!

Zająć się jeszcze należy sprawami związanymi z wyjazdem Towiańskiego do Francji w 1840 r. Prof. Tancredo Canonico, a inni jego biografowie poetycznie piszą o ubogim szarym człowieku, co w wózku jednokonnym opuszcza kraj na wielkie posłannictwo. Paszport zachowany w archiwum państwowym w Wilnie wykazuje zgoła co innego — wyjechał Towiański z Antoszwińcia z żoną i synkiem oraz woźnicą, chłopem poddańczym, którego zresztą odesłał od granicy (a synka zostawił w Warszawie u Noskowskich, rodziców kompozytora, na ich utrzymaniu) — w parokonnym wygodnym powozie — wziąwszy przeszło 7.000 rubli jako tenutę dzierżawną za Antoszwińcie za 6 lat z góry. Ani więc jednym *konikiem*, ani ubogi, ani samotny odjeżdżał nasz bohater dla odegrania wielkiej roli, a więc *co słowo to nie prawda*, nie winni tu biografowie, lecz sam Towiański, gdyż na jego słowach wszystko się opiera. *Nic o nim nie wiedzą przed wyjazdem z kraju prócz tego, co sam o sobie raczył powiedzieć*, lub w najlepszym wypadku, co powiedział jego szwagier Gutt. Czy to dostatecznie wiarygodny i bezstronny świadek — odpowiemy — Nie! Oto kilka szczegółów z życia dr. Gutta.

Ferdynand Gutt, syn Jerzego Gutta, Niemca, wybitnego masona, członka loży „Zum guten Hirten", szwagier i zwolennik Towiańskiego wart zajęcia się jego osobą. On jak i żony obu pochodzenia niemieckiego (Maxówny, córki bogatego siodlarza i rymarza wileńskiego, członka loży masońskiej niemieckiej „Zum guten Hirten", Niemca, podpisującego się na aktach gotykiem). Ojciec jego był bogatym właścicielem apteki i kamienicy, — skończył żywot tragicznie, powszechna była opinia, że pomógł mu do zejścia z tego padołu ks. Piotr Witgenstein, ożeniony z księżniczką Stefanią Radziwiłłówną, córką z pierwszego małżeństwa ks. Dominika, który zginął w 1813 r. w szeregach armii polskiej walczącej pod sztandarami Napoleona. Piotr Witgenstein, ruski Niemiec, szukający chleba na rozłogach bogatej Rosji, pojął tam z łaski i rozkazu cara Mikołaja dziedziczkę ogromnych dóbr malibockich i pięknych Werek pod Wilnem, a jako notoryczny pijak, szuler i marnotrawca, mając z nią córkę, późniejszą małżonkę kanclerza cesarstwa niemieckiego po Bismarcku, ks. Hohenlohe, zapragnął swobody w zarządzie majątkiem i z pomocą Gutta truł ją powoli, a potem uważał za konieczne pozbyć się świadka niewygodnego i szantażysty.

Ferdynanda Gutta ukazują biografowie Towiańskiego jako wysoce etycznego i patriarchalnego. — Dokumenty mówią co innego. Oto np. Gutt nie bierze żadnego udziału w powstaniu, lecz co prawda nie można mu robić zarzutu, bo większość Polaków też nie poszła, natomiast podejrzane jest odznaczenie Gutta w r. 1832 orderem Św. Anny III klasy na wniosek senatora Nowosilcowa, co dowodzi zaufania władz rosyjskich. Nie wiemy niestety, za jakie zasługi otrzymał to odznaczenie. Po roku 1831 wyjeżdża kilka razy za granicę, m. i. jeden raz do Ems z wymienioną powyżej Stefanią z Radziwiłłów Wittgensteinową, która tam umiera. Uzyskanie wtedy paszportu dowodzi, że opinia władz o jego bezwzględnej prawomyślności była niezachwiana, gdyż trudno było otrzymać paszport wtedy nawet dla ludzi ustosunkowanych, poza tym paszport kosztował kilkaset rubli. W czasie jednak ostatniej podróży ściągnął pewne podejrzenie władz, gdy w Manheim zetknął się z Romanem Mikułowskim i Tytusem Byczkowskim, emigrantami i wybitnymi patriotami, toteż przy powrocie w 1837 r. poddano rzeczy szczegółowej rewizji, skonfiskowano kilka niewinnych francuskich książek, więcej nic nie znaleziono. — Roztoczono od 1837—40 r. dozór nad nim, na który skarżył się Gutt, pisząc w r. 1840: „...nie czując się winnym karygodnych czynów..." i upraszał o wydanie mu paszportu zagranicznego. Widocznie potężne miał stosunki i poparcie w Petersburgu ten „patriota", jeżeli wszechwładny szef żandarmów i III wydziału kancelarii cesarskiej — hr. Benkendorff zlecił wydanie mu natychmiast paszportu, który też otrzymał 7.VI.1841 roku.

Poglądy Gutta nie są także liberalne, gdy w tendencyjny sposób w liście pisze (jak podaje prof. Pigoń w „Z Epoki Mickiewicza"), że *Żydzi grają pierwszą rolę* w Wilnie i na Litwie, co nie odpowiada prawdzie, a dowodzi niechęci, tym dziwniejszej, że Towiański, jego nauczyciel, był dobrze ustosunkowany do Żydów, chociaż w swoisty sposób. Tak samo kłamie, gdy opowiada, że teatralne afisze drukują tylko po rosyjsku, gdy drukowano je w języku polskim i rosyjskim, dopiero po 1863 r. nastąpił zakaz drukowania afiszów po polsku i likwidacja polskiego teatru w ogóle. Tak samo nie prawda; że był świadkiem knutowania Szabłowskiego, gdyż nigdy publicznie tego nie wykonywano.

W r. 1836 w liście do Pietkiewicza z Manheimu dodaje, że jeszcze w 1830 r. otrzymał światło, które zapowiedziało mocniejszy kierunek na lata 1837—38 i bezskuteczność wysiłków 1831 r. Znowu wizja jak u Towiańskiego.

Następnie w jednym z listów z Ems chwali się, że wyleczył księżnę Witgenstein, choć ta w parę miesięcy zmarła. Wreszcie, co najważniejsza w liście do Pietkiewicza z dn. 14.II.1836 pisze: „Ale bliski czas ujrzymy wyszłego z naszego rodu owego Chrystusa politycznego, to czułem blisko 7 lat przed wybuchem jeszcze powstania. Czuję go i widzę oczyma duszy, a może i więcej. A Adam w widzeniu ks. Piotra to zobaczył". Wygląda to bardzo podejrzanie. Znowu dwóch szwagrów i wcześniejsze przygotowanie gruntu. — Jak wyglądają naiwni, co uwierzyli po tym wszystkim.

O wysokiej lojalności rodziny Guttów świadczy kariera brata Gutta, który długi czas był wysokim urzędnikiem poselstwa rosyjskiego w Teheranie — rzeczywistym radcą stanu, kawalerem orderów, w wysokich łaskach u carskiego dworu.

Stosunek Towiańskiego do rodziców i dzieci jest b. dziwny. Wszyscy biografowie podnoszą jego moralność wyjątkową. Gąsiorowski mówi, że sumienie odgrywało u Towiańskiego w życiu psychicznym najważniejszą rolę. Prof. Zdziechowski podkreśla jego wysoką etykę od lat młodych i pobożność.

Towiański wyjeżdżając za granicę dla ratowania zdrowia, upraszając gen. gub. wileńskiego o prolongatę w liście francuskim z Drezna, podaje jako przyczynę, że nie może jechać obecnie, bo jest b. osłabiony, po odbytej kuracji w Karlsbadzie, gdyż podróż w obecnej porze roku może go przyprawić o śmierć. Gdyby nie staruszkowie rodzice i drobne dziatki zostające pod jego opieką, nie wahałby się wrócić narażając nawet życie, lecz ze względu na nich chce żyć i to jest powodem jego prośby. Tymczasem cóż widzimy — umiera jego ojciec w parę miesięcy, troskliwy kochający syn nie tylko nie spieszy z powrotem dla pocieszenia starej matki, lecz jeszcze prosi o przedłużenie paszportu na pół roku, który mu też wydają. Nawiasem mówiąc carski szpieg chargé d'affaires rosyjski w Dreznie Schroder przyczynia się walnie do tych prolongat wydając mu świadectwo, że nie utrzymywał stosunków z emigrantami. Wyjeżdżając z kraju na zawsze pozostawia matkę na łasce losu — w klasztorze Bernardynek w Wilnie, nie wesoło jest jej tam, bo pisze podanie do gen. gubernatora podkreślając ubóstwo, w którem się znajduje, nie mając środków do życia.

Wreszcie dzieci prawie wszystkie, zrazu syn, a potem i córki — zostają odesłane do Noskowskich na ich utrzymanie — chociaż ci są obarczeni liczną gromadką własnych dzieci. Z artykułu ogłoszonego w „Wiadomościach Literackich" w r. 1934 w tej sprawie przez znanego kompozytora Noskowskiego — widać, że matka Noskowskiego była żarliwą adeptką Towiańskiego i że ten za pomocą hipnotyzerskich chwytów zmusił ją, aby utrzymywała jego dzieci. On zaś uważał to za sprawiedliwe gdyż ma ważniejsze sprawy: reformę ludzi, i każdy obowiązany jest mu pomóc. Taka to była etyka Towiańskiego, niby obłudne przywiązanie do rodziny na pokaz gdy mu to było potrzebne, a potem stosunek bez serca do matki i dzieci których prawie nie znał — i wreszcie zupełnie nieetyczny sposób wykorzystania przygodnych znajomości — dla utrzymania jego pięciorga dzieci.

Teraz przejdziemy do jego uczuć patriotycznych. Towiański i jego ojciec Jakub nie brali udziału w powstaniu nie będziemy im tego wypominać. Jakub był w bardzo podeszłym wieku, sam zaś Towiański, jak widać z późniejszych jego nauk — uważał, że nie krwawa walka zbawi Polskę, ale udoskonalenie dusz polskich. Natomiast Jakub zabraniał swym fornalom i młodzieży chłopskiej iść do powstania i nie wydał im broni, która była we dworze. Po aresztowaniu ojca i odwiezieniu do kwatery głównej hr. Sackena w Święcianach (w karecie otoczonej oddziałem kozaków) Andrzej Towiański i jego żona piszą listy francuskie dość marną francuszczyzną, w których w pozbawiony godności sposób zapewniają o lojalności ojca i swojej — twierdząc, że wychowywał syna w bezgranicznym oddaniu cesarzowi. Wzięto go na porękę i w 2 tygodnie zwolniono. Natomiast ekonom wzięty z nim razem przesiedział rok i Andrzej Towiański „wysoce etyczny", jak mówi prof. Zdziechowski, Gąsiorowska i inni, nie interweniował ani słowem, aż gen. hr. Sacken kazał go zwolnić, zdumiony, że tak długo go trzymano, gdy Towieńskiego „pomieszczyka" zwolniono dawno.

Dr. Horoszkiewiczówna w polemice z dr. Charkiewiczem twierdzi, że tak ówcześnie pisano, a poza tym, że Kraszewski i Odyniec bardziej obleśne listy do generał-gubernatora pisali. Primo dr. Horoszkiewiczówna nie czytała wszystkich listów, są one nawet na owe czasy niesłychane w swym lizusostwie, zresztą tak samo pisał Towiański i z Drezdna. Secundo, to że Kraszewski i Odyniec pisali podobne listy nie rozgrzesza zupełnie Towiańskiego.

A już dwa memoriały do cara Mikołaja, i po 1863 r. do Aleksandra II, które wywołały burzę w emigracji, nie świadczą dobrze choćby o godności narodowej.

Patriotyzm Towiańskiego był swoistej natury, — można to tłumaczyć jego nastawieniem antyrewolucyjnym, rodzajem tolstoizmu — „*nie soprotiwlajsia zlu*", co nie można uznać za dodatnią cechę jego poglądów.

W końcu zajmiemy się stosunkiem Towiańskiego do ludu. Szerlecka twierdzi, że Towiański rozpoczął *uwłaszczenie* chłopów na długo przed ukazaniem się dekretu cesarza Aleksandra II. Mazurkiewicz podaje, że zaczął gospodarkę *od zniesienia pańszczyzny*. Prof. Tancredo Canonico także szeroko się rozwodzi w podobnym duchu. Tak samo prof. Zdziechowski, Gąsiorowska, Giżycki, Gozdawa. Natomiast dr Horoszkiewiczówna tłumaczy, że Towiański nie mógł nikogo zwalniać z poddaństwa, bo ustawy państwowe zakazywały tego. Wszyscy oni są w błędzie — Towiański Andrzej nikogo nie uwłaszczył, ani nie rozpoczął gospodarki od zniesienia pańszczyzny. Natomiast zwolnił z poddaństwa jednego ze swych poddanych (odpis dosłowny z autentycznego dokumentu zamieścimy poniżej). Nie było żadnego zakazu *zwalniania* chłopów, lecz tylko zakaz uwłaszczania, a i to można było robić za pomocą *darowizny*.

Towiański posiadał majątek Antoszwincie w pow. Wiłkomirskim, ówczesnej gub. Wileńskiej, potem Kowieńskiej; obejmował 42 włóki ornej ziemi, 24 łąk i 13 włók gajów brzozowych — reszta pod wygonami, błotami i zabudowaniami: 3 wsie, jeden zaścianek, gorzelnia i 2 karczmy. Chłopów pańszczyźnianych 86. Wileński Zarząd Dóbr Państwowych przyjmując w zarząd w r. 1846, 16.X., sekwestrowany majątek Towiańskiego, stwierdził, że stan ogólny chłopów jest nędzny, obciążenie pracą zbyt wielkie, po 3 dni w tygodniu mężczyźni i kobiety z chaty i po 30 dni tzw. gwałtów rocznie; z tego względu zwrócił się Zarząd do Centralnego Zarządu w Petersburgu o zmniejszenie pracy na 2 dni z koniem i 2 bez konia tygodniowo od każdej chaty i 12 dni gwałtu rocznie. Zarząd podaje, że w sąsiednich majątkach tak ciężkiej pańszczyzny nie było. Jak widać przeciążenie pańszczyzną było u „przyjaciela" ludu, chcącego reformować ludzi na szerokim świecie — *niepomiernie*, lepiej gdyby siedział na miejscu i zmniejszył pańszczyznę — tak jak projektował Zarząd Dóbr Państwa. Nie można pańszczyzny tak ciężkiej zrzucać na karb dzierżawcy, gdyż ona istniała przedtem i nie miał on prawa jej powiek-

AKADEMIA LEKARSKA W GDAŃSKU

szać, poza tym Towiański i jego szwagier Gutt — tacy wysoce — jak mówią ich biografowie — etyczni ludzie powinni wybrać człowieka dobrego i sprawiedliwego, a takim chyba był kolega Towiańskiego, b. sędzia grodzki Antoni Zawadzki. Zresztą Tancredo Canonico twierdzi, że powierzył przed wyjazdem zaufanej osobie moralny kierunek chłopów. W kontrakcie nie widzimy troski o byt chłopów, natomiast jest jeden wcale ciekawy punkt. Oto Towiański obowiązuje dzierżawcę, aby codziennie dawał pracującym we dworze po sporym kieliszku wódki, albowiem z praktyki wiadomo, że chłop po wódce lepiej, wydatniej pracuje. Coś w rodzaju dopingu, jak dla koni wyścigowych. Z tego widać, że bardziej interesował go dobrobyt dzierżawcy niż chłopów. Wreszcie na zakończenie sprawa zwolnienia jednego chłopa z poddaństwa. Oto odpis dokumentu.

Odpis z kart 140 v. 141 księgi wieczystej wileńskiego sądu pow. nr 126/rej. 15-a z r. 1840 cz. II, przechowywanej w Archiwum Państwowem w Wilnie.

„459. Akt dokumentu libertacyjnego od Towiańskiego Danilewiczowi wydanego.

Roku tysiąc ośmset czterdziestego
Miesiąca Septembra siódmego dnia

Przed Sądem Powiatowym Wileńskim stawaiąc osobiście W. Ferdynand Gutt Doktor Medycyny dokument libertacyiny niżey wyrażaiący się po rezolucyi Sądowey do akt podał: Niżey podpisany czynię wiadomo tym moim libertacyinym dokumentem danym i służącym poddanemu majętności moiey Antoszwincia Janowi Danilewiczowi w rzeczy następney Jan Danilewicz odznaczył się talentem w wielu Rodzaiach maysterstwa a to z własney usilności i starania tym talentem wiele dla mnie zrobił dogodności a w stawianiu Kaplicy szczególnieyszego dołożył starania i gorliwości bez wymagania starania i równo tylko z innemi Rzemieślnikami był nagrodzony Wszakże te Boże Dary w nim dostrzegane to uczucie duszy rozwiiaiące się któremi we włości Antoszwinskiey odznacza się robią we mnie przekonanie że żyiąc daley iako wolny człowiek więcey ieszcze na drodze użyteczności i swego talentu postąpi i stawać się może coraz pożytecznieyszym Członkiem społeczności w tym celu i w tey nadziei uwalniam Jana Danilewicza nazawsze od poddaństwa i wszelkich dwornych posług a Synom iego nie mogąc tego daru robić przez wyięcie od ogulnego prawa iako nieznaiący czy będą onego godnemi czy go na złe nieużyią wszakże aby oycu nietamować drogi do kształcenia Ich na pożytecznych ludzi, lubo każdy tu dotąd stosownie do zdolności zarabiał i miał wolność rozwiania talentu dla większey wszakże pewności ninieyszym moim dokumentem zapewniam że do lat dwudziestu ani Ja ani Sukcessorowie moi do dzieci Jana Danilewicza nie będą mieli żadnego prawa a po latach dwudziestu wieku w czasie kiedy pokażą czem są w istocie, będę starał czy Sam przez siebie czy przez poruczenie Sukcessorom aby im sprawiedliwość podług zasługi i wartości domierzoną była Jakowy móy libertacyiny dokument w celu domierzenia sprawiedliwości Janowi Danilewiczowi wydający się przy Świadectwie uproszonych pieczętarzy podpisem własney ręki stwierdzam Datt w Antoszwinciu Roku tysiąc ośmset czterdziestego M-c Czerwca pierwszego dnia (:podpisano:) Andrzey Towiański b. Assesor Sądu G-ll-ego Wilen. 2-o Depart. Czasowego Ustnie i oczewisto proszony za pieczętarza do tego libertacyinego dokumentu przez W. Andrzeja Towiańskiego, b. Assesora Sądu G-ll-go Wilen. 2-o Czasowego Depart. wydanego Janowi Danilewiczowi podług prawa podpisuię się Ferdynand Gutt Doktor Medycyny — Za ustną i oczewistą prośbą JW. Andrzeja Towiańskiego do tego libertacyinego dokumentu Janowi Danilewiczowi wydanego za pieczętarza podpisuie się Konstanty Paszkowski b. sędzia Gran. P-ttu Wilen. Po podaniu do akt iest takowy dokument libertacyiny w Księgi Powiatowe Wileńskie wpisany".

Jak widzimy i tu występuje obłudny świętoszek uwalniający tylko ojca. Maluje to doskonale tego pseudo-filozofa.

Jak widać Towiański *„przyjaciel ludu"* uważał, że chłopi nie dorośli do swobody.

Dla jaśniejszego zobrazowania niesłychanych bredni Towiańskiego kolportowanych z zachwytem i wiarą przez biografów, podajemy tu garść jaskrawych szczegółów.

Wszystkie opowiadania Towiańskiego o latach dziecinnych przesiąknięte są ckliwym sentymentalizmem. O tym jego dziwnym sentymentalizmie cukierkowatym obok despotyzmu niepohamowanego i nietolerancyjnego stosunku do niepoddających się jego naukom, pisze prof. Mazurkiewicz w swym studium psychologicznym o Towiańskim.

Niektóre jego „opowiadanka" z lat męskiego wieku są tak charakterystyczne, że warto je przytoczyć. Oto pewnego razu spotyka on na ulicy Petersburga kobietę publiczną, w której dostrzega duszę podniosłą i głęboko cierpiącą. Kilku słowami zdobywa zaufanie, wysłuchuje jej rozdzierających serce kolei i wkrótce z pomocą przyjaciela umieszcza ją przy pewnej rodzinie, której szacunek i przyjaźń rychło sobie zjednała.

Całe to opowiadanie trąci jawnie reklamiarstwem, obliczonym na naiwnych w najwyższym stopniu. Uderza — primo: zaczepienie przez tego namaszczonego apostola na ludnej ulicy kobiety publicznej, czego się i teraz wystrzegają ludzie przyzwoici — secundo: musiał z nią jeszcze odbyć długą przechadzkę, by dostrzec jej duszę podniosłą i głęboko cierpiącą i zdobyć jej zaufanie. Tertio: finał cały nieprawdopodobny — trudno by było znaleźć taką rodzinę, a jeszcze trudniejsze — takie szybkie nawrócenie. Wydaje się, że Towiański opowiadający gen. Skrzyneckiemu, że jest drugim Chrystysem — chciał dublować scenę z Samarytanką lub Marią z Magdali. Nie bez wpływu była zapewne „Dama Kameliowa".

Mało tego, Towiański opierając się na plotce żony swej, którą przyniosła od bab wiejskich kwalifikujących go jako czarodzieja dlatego, że jedną gawędą przemienił chłopa Łuszczuka, zawołał: *„to rzecz wielka, to znak który Bóg mi daje na spełnienie powołania dla ludu polskiego"*. Wtedy ograniczał posłannictwo jak widać li tylko dla ludu polskiego, wkrótce wzrośnie apetyt zbawienia wszystkich ludów. Podobnie spotkał kiedyś pijaka, który pada bez zmysłów na ziemię. Znowu znak od Boga. Kometa ma być podług Towiańskiego wskazówką dla ludzi, że oto on przynosi nowe objawienie.

Dowodzi to niesłychanej pychy, o której wspomnieliśmy już parokrotnie, graniczącej z obłędem — którą prof. Mazurkiewicz określa jako doprowadzony do ostateczności egocentryczny sposób wnioskowania, który jest zjawiskiem u *Towiańskiego stałym, niespotykanym u ludzi normalnych.*

Prof. Mazurkiewicz, głęboki psycholog o umyśle krytycznym — uważa, że drobne epizody z życia Towiańskiego noszą na sobie cechy prawdziwości. Jeżeli człowiek niedawno zmarły, uczony wielkiej miary mógł być tak zasugestiowany pięknem bezsprzecznym wzniosłych nauk Towiańskiego — że nie widział jawnie kłamliwych obrazów roztaczanych przez Towiańskiego o jego życiu przedposłanniczym to dowodzi, że aura „mistrza" działała jednakże i działa dotąd nawet na ludzi bezstronnie, a nawet krytycznie lub niechętnie ustosunkowanych do niego. Dużą bezwzględnie w tym rolę odgrywa kult Mickiewicza i Goszczyńskiego, a także i może najbardziej — dziwaczna idea *mesjaniczna* narodu polskiego, zaczerpnięta ze wzoru żydowskiego, a oparta na megalomaństwie i przeświadczeniu o wyższości Narodu Polskiego, która opętała szerokie warstwy społeczeństwa, nawet wrogich sobie kierunków.

O misji Towiańskiego nie będziemy się rozwodzić długo. Nie jest naszym zadaniem rozpatrywać jego naukę, dogłębnie i wszechstronnie opisaną i skomentowaną przez uczonego tej miary, co prof. Pigoń. Zaznaczyć tylko należy, że nic oryginalnego nie dał w swej nauce; ale skompilował z dzieł swoich poprzedników Boehmego, Swedenborga, S. Martini, Grabianki i i. Natomiast należy podkreślić dwulicową obłudną taktykę Towiańskiego przy wykonywaniu tej wzniosłej misji — stwierdzają to i prof. Ujejski i prof. Mazurkiewicz na podstawie własnych jego słów lub słów jego adeptów, że Towiański rozmawiając z Polakami podnosił „wybraństwo" narodu polskiego — gdy jednak mówił z Włochami — głosił, że Włosi są narodem wybranym. Gdzie tu wysoce etyczny prorok? Następnie prof. Mazurkiewicz stwierdza, że gdy nie mógł pokonać oporu czyjegoś — nie wahał się, gdy mu bardzo o kogoś chodziło — użyć przekupstwa.

Wreszcie, gdy na początku swej „misji" Towiański opierał wszystko na miłości, głosił wszechmiłość ludzi i narodów — potem pod wpływem widocznie niepowodzenia swej nauki zmięnił się radykalnie, stał się nieprzystępny, niewspółczujący i przepojony uczuciem nienawistnym do ludzi. Jego suchy stosunek bez serca charakteryzuje pobyt dwudniowy w Zurychu córki Marii — widział ją zaledwie kilka godzin, a suche słowa były wszystkim, co mógł po dwudziestoletnim niewidzeniu wykrzesać namaszczony prorok.

Takim sposobem wzniosła misja Towiańskiego, jak widzimy, miała bardzo ciemne strony zgoła nie licujące z namaszczoną powagą proroka obleczonego w togę niezłomnego moralisty, a co gorsza w końcu załamała się zupełnie. — Na zakończenie jeszcze jedna ważna kwestia. Z czego to utrzymywał się Towiański? Wiemy, że nie był kapitalistą. Majątek w końcu skonfiskował mu rząd. 7000 rubli dzierżawy za 6 lat pobrane z góry na długo nie starczyło. Wszyscy biografowie dyskretnie o tym milczą. Trzydzieści kilka lat pędził żywot ruchliwy, podróżował po Francji, był i w Rzymie, a potem osiadł na stałe w Zurychu. To wszystko kosztowało drogo. — Nie słychać, aby zarabiał lekcjami, czy jakimś rzemiosłem. Wynika z tego, że żył z tajemniczych źródeł, najpewniej dostarczanych przez zamożniejszych adeptów. Żył zatem na cudzy koszt wraz z żoną. Dzieci dawno utrzymywali Noskowscy. — W jego mniemaniu wszystko było w porządku.

Komentarze zbyteczne.

Takim był Towiański w świetle czynów, nie pięknych manifestów.

Euzebiusz Łopaciński

GUILLAUME APOLLINAIRE — przełożył ALLAN KOSKO

JESIEŃ CHORA

Jesieni chora uwielbiana
Umrzesz kiedy huragany przewieją przez gaj różany
Kiedy śnieg zacznie padać
Po sadach

Biedna ty jesieni
Uśnij wśród obfitości wśród bieli
Owoców i śniegu
Wysoko pod niebem
Szybują jastrzębie
Ponad lasem gdzie szepcą wróżki zielonowłose
Nimfy karłowate malutkie
Z nich żadna w życiu nie zaznała miłości

U skraju lasów spoza rzeki
Jeleni słychać bek daleki

Lubię twe gwary chrzęsty o jesienna poro
Owoce grona wiatr je strąca kiść po kiści
Tak szlocha wiatr i wypłakują bory
Jesienią łzy liść po liściu

Liście
Wiatr zrywa
Pociąg
Turkoce
Życie
Upływa

(ALKOHOLE)

CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOŚCI

JANINA BRONIEWSKA
HISTORIA GAŁGANKOWEJ BALBISI
Wyd. 2
Str 68
zł 260

Czy Niemojewski był pisarzem postępowym?

Artykuł Juliana Krzyżanowskiego w nr. 44 (205) „Odrodzenia" „Andrzej Niemojewski przed niepodległością" znalazł oddźwięk w licznych listach do redakcji polemizujących ze stanowiskiem prof. Krzyżanowskiego. Poniżej drukujemy wypowiedzi Ksawerego Probołowskiego i Zygmunta Kałużyńskiego uważajac dyskusję o Niemojewskim jeszcze za otwartą.

KSAWERY PROBOŁOWSKI

Mocno byłem zdziwiony hymnem pochwalnym, jaki złożył Niemojewskiemu, autorowi „Legend", Julian Krzyżanowski w „Odrodzeniu" z dn. 1.XI. br. Pasując go omalże na rycerza i obrońcę postępu i socjalizmu, przedstawiając go w roli bicza na nacjonalistów i antysemitów godził w moje ustalone już od młodości poglądy na redaktora „Myśli Niepodległej", które były biegunowo przeciwne tym, jakie wyłuszczył przed czytelnikami Julian Krzyżanowski. Ponieważ, przyznam się, że utworów Niemojewskiego nie czytałem, więc wydawało mi się, po przeczytaniu artykułu Krzyżanowskiego, że widocznie uległem jakiejś mistyfikacji ze strony tych osób, które mi zasugerowały postać Niemojewskiego, jako wstecznika i antysemity, że jednym słowem wprowadzono mnie w błąd i, że nie taki czarny diabeł, jak go malują. Przecież potęga druku jest ogromna. Tak „stoi" napisane i to gdzie? — w „Odrodzeniu". Zanim jednak zdołałem do cna przetrawić rewizjonizm w stosunku do Niemojewskiego, wpadła mi przypadkowo do rąk książka tegoż autora pt.: „Skład i Pochód Armii Piątego Zaboru" — wydawnictwo „Myśli Niepodległej" — W-wa 1911. I po przeczytaniu tego „dzieła" godnego pióra jakiegoś redaktora przedwojennej „Sztafety", nie wiedziałem co wpierw podziwiać, czy mętlik ideologiczny, jaki reprezentował Niemojewski, nie kryjąc się wcale ze swym obliczem wybitnego reakcjonisty i antysemity, czy też „wywody" Krzyżanowskiego. Julian Krzyżanowski pragnie nam wmówić, że jego interpretacja słów autora „Legend" odpowiada polityczno-moralnej postawie Niemojewskiego, a ponieważ umarli na ogół milczą, z wyjątkim seansów spirytystycznych — więc nie pozostaje nam nic innego, jak podpisać się pod jego artykułem obiema rękami.

Ale od czegóż są wyznania autora. Oto one ukazują nam prawdziwe lica bez obsłonek i literackiego retuszu. W tej oto książeczce pod tytułem wielce wymownym jak „Skład i Pochód Armii Piątego Zaboru" mieści się całe credo polityczno-filozoficzne redaktora „Myśli Niepodległej". Dla lepszego zorientowania czytelnika, jak się rzeczy naprawdę mają, będziemy cytować wypowiedzi Juliana Krzyżanowskiego i konfrontować je z wyznaniami Niemojewskiego: a więc u Krzyżanowskiego czytamy:

„Wprawdzie postawa polityczna pisarza, który obserwując rok rewolucji, ów „rok wielki" trafnie wyczuł, „że Polska wstaje i jest Ludowa" i który — jak się dalej okaże — śmiało proklamował konieczność rewolucyjnego przymierza Polski i Rosji, budzi głębokie uznanie..."

Teraz przeczytajmy, co mówi na temat rewolucji sam autor „Składu i Pochodu Armii Piątego Zaboru" na str. 13.

„Dalszy jednak rozwój wypadków świadczy wymownie, iż w naszym stanie kultury sfery posiadające, oddane grubemu materializmowi jedynie rozumiały wartości narodowe, gdy sfery niepcsiadające, również grubemu materializmowi oddane, wartości idealnych narodowości zupełnie zrozumieć nie mogły. Niejedna rewolucja upadła dlatego, ponieważ występowały jako czynnik trzeci sfery niepcsiadające i topiły ją w anarchii, nie rozumiejąc zupełnie tych stopniowych zdobyczy, które mogły były osiągnąć".

Tyle jeśli chodzi o zrozumienie roli i znaczenia rewolucji w dziejach narodu, a może Krzyżanowski w ferworze brązowienia postaci Niemojewskiego uznał „gruby materializm" za materializm dialektyczny. A teraz o konieczności rewolucyjnego przymierza Polski i Rosji czytamy na str. 18 co następuje:

„Do owych dwóch mitologematów ludzkości i kultury ogólnoludzkiej, przyłączył się mitologemat trzeci w postaci proletariatu wszechludzkiego. Ilekroć święciło się jakąś pamiątkę narodową, święto historyczne nawet bardzo starej doby, natychmiast socjalanarchiści jak się wyrazili przez ramię „narodu" podawali rękę „bratniemu proletariatowi" niemieckiemu lub rosyjskiemu. Wprawdzie proletariat rosyjski przybywał do kraju pod opieką władz budować koleje i mosty, pracować przy budowie gmachów publicznych i krzątać się na komorach, bić gościńce i sypać groble, odbierając chleb proletariatowi miejscowemu, wprawdzie powstały w Rosji proletariat ani słowem przeciw temu nie protestował... ale mimo to wyciągało się rękę w przestrzeń, gdyż tam unosiła się mara, jaśniejący barwami mitologemat, wizja, którą się brało za rzeczywistość potężną, władczą, świadomą siebie i światobórczą".

Oto jak wygląda odmitologizowany autor „Legend" w świetle swych zeznań i przypomnieć warto, że było to już pisane po słynnej polemice Lenina z Różą Luksemburg, w której Lenin wyłuszczył poglądy bolszewików na prawo narodów samostanowienia o sobie. Konia z rzędem temu, kto ze słów Niemojewskiego wyczyta „konieczność rewolucyjnego przymierza Polski i Rosji".

Takich kwiatków u redaktora „Myśli Niepodległej" można wyładować całą furę, ale nie będziemy nimi zajmować czytelników, wystarczy, gdy na zakończenie zaprezentujemy oto taką perełkę z serii złotych (a właściwie perłowatych) myśli Niemojewskiego dotyczących kwestii żydowskiej.

„Wciąż też jeszcze powtarza się u nas frazes o spędzaniu Żydów do Ghetta a frazes ten powtarzają ludzie, którzy mają pretensje do „naukowego" traktowania zagadnień. Tymczasem Ghetto jest u Żydów FORMACJĄ ANTROPOLOGICZNĄ (napisane dużymi literami przyp. mój)" str. 39.

Na jakiej więc podstawie Krzyżanowski pisze, że:

„Niezwykłość Niemojewskiego polegała tu na śmiałym zaatakowaniu dwu dogmatów w katechizmie nacjonalistycznym ówczesnego Polaka: niechęci do Rosji oraz antysemityzmu".

pozostaję przynajmniej dla mnie wielką tajemnicą. Wydaje mi się, że zaszło tu grube nieporozumienie i apel Krzyżanowskiego, „by wprowadzić go (tzn. Niemojewskiego) w poczet pisarzy godnych uwagi czytelnika dzisiejszego" — nie dotyczy czytelnika Polski Ludowej, ale chyba minionej. Jeśli zaś Krzyżanowskiemu chodzi o twórczość literacką Niemojewskiego, powiedzmy okresu wcześniejszego, gdzie nie obnażył jeszcze swych czarnosecińskich kłów, to wydaje mi się, że mamy jeszcze w Polsce tyle utworów cennych i niewydanych, że Niemojewski może poczekać w pyle bibliotecznym, aż go sobie przypomni jakiś bibliofil ku przestrodze przyszłych pokoleń.

Ksawery Probołowski

ZYGMUNT KAŁUŻYNSKI

W nocie pt. „Postępowe czy reakcyjne" w nr 46 „Kuźnicy" **żłk** ostrzega przed pochopnym wprowadzeniem Andrzeja Niemojewskiego do obozu pisarzy socjalistycznych; próby takiego „zakaperowania" autora „Ludzi rewolucji" dokonał J. Krzyżanowski w nr 44 „Odrodzenia".

Rzeczywiście, działalność Niemojewskiego w ostatnim okresie jego życia wyklucza go spośród postępowców (Niemojewski jako redaktor „Myśli Niepodległej" gwałtownie zwalczał polityczny ruch robotniczy), a występujące w jego twórczości figury proletariuszy, nawet wtedy gdy ich przedstawia życzliwie, np. Bala w „Ludziach rewolucji" — to histerycy i warchoły typu ówczesnych anarchicznych intelektualistów.

Natomiast wydaje się, że J. Krzyżanowski niedość oświetlił rolę Niemojewskiego jako jedynego polskiego renanisty, twórcy swoistej „lirycznej" odmiany tej szkoły, która usiłowała „unowocześnić" chrześcijaństwo, dostosować jego humanitarne idee do odkryć najnowszej wiedzy, umożliwić sceptycznym pozytywistom lekturę ksiąg świętych. Renan objaśniał cudy poetyczną fantazją naiwnych autorów Ewangelii, lub niezrozumiałymi dla współczesnych zjawiskami natury (t zw. „czerwona fata morgana", miraż typowy dla pustyni arabskiej — przekształcił się w Pana Boga w słupie ognia, postępującego przed Mojżeszem. Prof. Strauss rozpoznawał w Jezusie „po prostu mądrego człowieka", filozofa i reformatora, porównywał go do Buddy i Apoloniusza z Tiany, do magów tak wówczas licznych i modnych; Chrystus był wśród nich tym, który „zrobił karierę".

Z artykułu Krzyżanowskiego wynika, że „Legendy" Niemojewskiego, to „wizja zamierzchłych czasów pełna wymowy naprawdę artystycznej", o „swoistym nastroju poetyckim, rzadko spotykanym w naszych opowiadaniach o świecie starożytnym", co nie tłumaczy konfiskaty tej książki i oburzenia jej czytelników. Pierwsza opowieść o Zwiastowaniu, „Posłaniec", pod pozorami poetycznego obrazu wsi judejskiej o zachodzie słońca, ukrywa historię poczęcia Jezusa, zbliżenie się chłopki i ówczesnego „bandosa" sumeryjskiego, wędrującego za pracą; pod wpływem nastrojowej sytuacji Maria bierze egzotycznego obieżyświata, przypadkowego kochanka na jeden wieczór, za gościa nie z tej ziemi W innych nowelach powtarza się wzmianka o „rodzinie Jezusa", Maria występuje „otoczona gromadką dzieci, braci i sióstr proroka". Motywy te są tak zasnute niejasnością lirycznego opowiadania i niekłamanym uwielbieniem dla postaci Reformatora, że mogą ujść uwagi dzisiejszego czytelnika.

Konsekwentny i własny system interpretacji Ewangelii zbudował Niemojewski w innej „bluźnierczej" książce, „Bóg Jezus", gdzie usiłuje udowodnić, że Chrystus nie istniał, a legenda o nim jest jeszcze jedną wersją mitu o śmierci i odrodzeniu się przyrody, podobnie jak historia egipskiego Ozyrysa, zamordowanego i zmartwychwstałego, babilońskiego Tamuza itd. W oparciu o rozległą erudycję religioznawczą (której dowodzą też jego przekłady Flawiusza i Talmudu), Niemojewski twierdzi, że poza Ewangeliami nie istnieje w literaturze greckiej i rzymskiej poważna wzmianka o Chrystusie (Tacyt mówi tylko o „chrześcijanach"); próbuje skompromitować teksty ewangeliczne (zdania zaprzeczające sobie: Chrystus najpierw zakazuje się gniewać: „Ktoby rzekł swemu bratu: głupcze, będzie winien ognia piekielnego" a potem obrzuca faryzeuszy obelgami — „głupi i ślepi, groby pobielane"; występuje jako pacyfista, „błogosławieni pokój czyniący", potem zapowiada, że „rozdzieli matkę i syna, siostrę i brata"; „Nie można dwom panom służyć", ale „oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu", itp. niekonsekwencje). Wreszcie uzasadnia dzieje Chrystusa ruchem słońca w interpretacji astrologicznej (np. wejście słońca w znak Bliźniąt — oznacza rzeź niewiniątek, z aluzjami do dziecięcych ofiar w prymitywnym kulcie Molocha.

Te prace Niemojewskiego, dzieła maniaka, choć nie ostały się wobec badań historii nowoczesnej, odegrały przecież wyjątkową w Polsce rolę społeczną, jako wolterowska, odważna dyskusja nad dogmatem. Sam Niemojewski uważał się za spadkobiercę swego siedemnastowiecznego przodka szlacheckiego, pisarza ariańskiego. Sekta „uczciwych chrześcijan", którym nie wolno było ani przyjmować urzędów, by nie krzywdzić nikogo, ani nosić ozdób, nawet guzików — jako czczego bogactwa, ani używać broni (klingi ich szabel były z drzewa — zupełne usunięcie broni zbyt raziłoby obyczaje ówczesne, ani zwracać się do bliźnich, najwyżej nawet posta- była w modzie w okresie naszego modernizmu. Żeromski poświęcił im gorzkie i patetyczne stronice w „Nawracaniu Judasza". Historię wygnania tych szlachetnych wolnomyślicieli opowiada St. Kot („Ideologia braci polskich zwanych arianami"). Ta tonacja: połączenie impetu reformatorsko-społecznego z tradycją chrześcijańską, jest typowa dla tego okresu. np. rewolucyjno-mistyczny „Kniaź Patiomkin" Micińskiego, czy „Róża" Żeromskiego.

Ale zainteresowanie początkami chrześcijaństwa nie zawsze miało sens społeczny, Daniłowski (w pornograficznej „Marii Magdalenie"), Kasprowicz (poemat o „Chrystusie"), Rostworowski i Tetmajer (autorowie dwóch dramatów o Judaszu), J. A. Święcicki (Historia literatury arabskiej, hinduskiej, żydowskiej) postępowali raczej za modą literacką, rozprowadzoną przez Flauberta, France'a, Schwoba, Sudermanna, Wilde'a, w malarstwie reprezentowaną przez Gustawa Moreau: to była estetyczna ucieczka w egzotyczny świat Wschodu starożytnego. Nawet problemy moralne traciły ostrość na tle sztafażu muzealnego („Judasz" Tetmajera; bardziej współczesny był Rostworowski, usprawiedliwiający zdradę Judasza jego kompleksem nędzy).

Zasługą Niemojewskiego jest zdyskontowanie socjalne tej mody literackiej; nie popadając w mistycyzm „Patiomkina" z jednej strony, ani w estetyzm „modernizmu", rozmiłowanego w rekwizytorni starożytnej, Niemojewski usiłował stworzyć „wiedzę wolnomyślną" za przykładem Renana. Być może działacze tacy jak autor popularnych broszur Antoni Szech który dla socjalizmu porzucił suknię duchowną, by potem zwalczać kler właśnie chrześcijańskimi tezami — mniej mieliby szans, gdyby nie śmiałe wystąpienie Niemojewskiego. A na pewno dostarczył Niemojewski argumentów naszym „spółdzielcom", oświatowcom i „zbuntowanym belfrom" w rodzaju Andrzeja Radka, z lat 1905 — 1920. „Bóg Jezus" był tam znany na równi ze „Zdobyciem chleba" Krapotkina, „Autobiografią" Milla, pismami Abramowskiego i cyklem o Owenie, Fourierze, etc. Brzezińskiego („Dobroczyńcy ludzkości...). Do Marksa ci nasi „socjaliści utopijni" nie docierali.

Ale jeszcze antyklerykalny i antyobskurancki „Wolnomyśliciel", wydany w Lublinie w latach 1925-6 przez A. Żbikowskiego inspirowany przez „komunistyczny" Związek ZNP, przedrukowywał całe stronice z „Boga Jezusa".

Zygmunt Kałużyński

WIKTOR WOROSZYLSKI

BALLADA O BYŁYM SOŁTYSIE JANIE

I

— Niech będzie pochwalony!
— Na wieki wie...
Ręce proboszcza, jak balony,
Unoszą się w blasku świec.

— Co mi niesiesz, dobra owieczko?
Jaki okupić chcesz grzech?
— Zatrzasnęło się trumny wieczko
w mojej ostatniej grze.

Obereczek, dobry taniec,
gdy w komorze złota dzbaniec,
oj dziś dziś, oj dziś dziś, oj dana dziś.

Nie, nie, trzy razy: nie!
Na pierwsze, że ziemia, więc gniew!
Na drugie, że ziemia, więc gniew!
Na trzecie: żebyście połamali ręce i nogi!

Ciężar przyśpiewki ławy gnie,
okno zajmuje, jak ogień:

„Dobra ziemia, tłusta ziemia,
jeden miał ją, drugi nie miał,
jak reforma, to reforma,
niechże kark rozegnie fornal!"

A gospodarzom to się nic już nie należy?
Czyje, psiakrew, pijecie i żrycie?
Na czyim, skurwysyny, weselu?
Na weselu?
Hej, hej, na weselu!
Chmielu!

II

Niedopity bimber mętniał w szklankach —
we śnie poczuł Jan nagły przestrach.
To o północy wróciła z Majdanka,
by Janowi zagrać, żydowska orkiestra.
Ani wołał Jan, ani chciał ich,
więc nie słuchał z początku. Potem uległ.
Czegóż bać się w nieżywych ciałach?
Jak już przyszedł — niech zagra Srulek.
Śmieszny Srulek, Jan naprawdę go lubił.
Jan rozczulił się: oj, ty dolo pechowa.
Gdyby mu nie skąpił Srul złotych rubli
byłby Jan go do końca przechował.

Obereczek, taniec szybki,
masz ty, Żydku, krzepkie skrzypki,
oj dziś dziś, oj dziś dziś, oj dana dziś.

Czaszki gości gwoździem pitny dym pruł,
tylko Jana nie tknął, przemknął obok.
Chciał robaka zalać kubkiem bimbru,
golnął, a tu na dnie — znowu robak.

Kiedy cięli mu pierzynę,
płakał Żydek, jęczał Żydek.
Zabrali mu złota garneczek, —
siwe pejsy rwał w rozpaczy,
wyginał się, niby smyczek,
póki sołtys ruble liczył.

Rubli brzęk, Żyda krzyk, skrzypiec dygot:
— Obertasa dla sołtysa, dziadygo!
Jan to czuł, nawet Szwabów, hoho, okpił —
dwóch żandarmów, każdy sobie zjadł i podpił
wlokła Srulka kompanija zapita,
a o złoto zapomnieli zapytać.

Jan w tym palców nie maczał —
(no, a gdyby zamoczył?),
zgoła na to nie patrzał —
(pewnie chore miał oczy!).
A jak było? Czy było? Kto wie dziś?
Hop, hop, tańczą buty podkute.
Poszedł Jan — hop, hop — do spowiedzi,
ksiądz mu zadał — hop, hop — pokutę.
Tańczy Jan z przysiadem, z furkotem,
rude wąsy sołtysowskie mu się świecą.
Rude wąsy, niby ruble złote.
Złote ruble? A o rublach kto wie coś?
Oj dziś, oj dziś, oj dana dziś.

III

Wy, sołtysie, na to kichacie,
topór reform nie całkiem wasz pień ściął.
Stoi wicska, chata przy chacie,
grozi chata kominu pięścią.

Was, sołtysie, bieda nie tłukła
i nie z was siedem skór zły wiek darł.
Obcy pot — wasza każda włóka.
I krew obca — każdy wasz hektar.

Wyzysk złoto wyciska z żywych
i na trupach złotem zakwita.
Do łajdactwa od dziecka przywykł,
kogo uczył swych praw kapitał.

Lecz nie dla was, sołtysie, ulga
i nie dla was plocha beztroska!
Nie oberka wam we śnie Srul gra —
to w sąsiedztwie: „Wyklęty, powstań!..."

Obradują młodzi w świetlicy
bez kułacząt i eks-sołtysiąt.
— Na tym świecie wszystko się liczy:
dzień wyzysku — i dni tych tysiąc!

Sterczy wąsów czupurny wiecheć.
Sołtys dumny, że w sadło obrósł.
Lepiej, Janie, na drogę nie chodź,
kręci czas na twą szyję powróz.

IV

Obereczek, jak wspomnienie,
podkóweczek stuk o ziemię,
oj dziś dziś, oj dziś dziś, oj dana dziś.

Z żandarmami się pijało? Pijało.
Nieposłusznych się bijało? Bijało.
Posyłało się niewykupnych na Prusy. —
kto to widział — niech mu oko zaprószy.

„Dobra ziemia, tłusta ziemia,
jeden miał ją, drugi nie miał,
jak reforma, to reforma..."

Kto idzie?
Ty, Helka?

O Jezu!
Gospodarzu, co wy robicie,
gospodarzu, na waszym weselu!

Cicho, głupia, nie rozdziawiaj paszczy,
przecież dla ciebie to zaszczyt!
I tobie ziemi nie dali,
jak służyłaś u mnie, tak służysz.

Nie dziw, gospodarzu, żeście żony dwie pogrzebali,
nie wytrzyma i trzecia dłużej.

Co tam żona, — jej kuchnia i cztery kąty,
a mnie hektar czterdziesty dziewiąty,
a drugie tyle nie przydałoby się, powiedz?
Kupiłbym ci, Helka, majtki kolorowe,
kupiłbym ci, Helka, może nie?...

Obereczek, taniec wartki,
niech zatańczy, kto go wart,
niech się darzy młodej parze,
niech śpiewają gospodarze.

Śpiewka byłego sołtysa Jana:

Młodej pannie trzeba chłopca,
nie daj Boże peperowca,
nie daj Boże eselowca,
jeden z drugim czarna owca.

Śpiewka panny młodej:

Nie luby mi chłopak młody,
w młodej głowie kubeł wody,
kmieć stateczny luby więcej,
jemu żywot swój poświęcę.

A dużo było gości na weselu
i chórem wołali: chmielu!
Graj, orkiestro, do rana
dla byłego sołtysa Jana!
Oj dziś, oj dziś, oj dana dziś!

V

Wyszedł sołtys przed chatę: w głowie szumiało
i taka go wzięła na dolę — niedolę żałość.
że ech i ach!

Cóż mi dziś po złotych rublach —
gówno kupię za nie lub łach!
Jam u Żyda wydarł dar ów,
by dokupić sto hektarów,
by stać z fajką na dziedzińcu,
by mówili mi: dziedzicu!
Pot parobek ma za karkiem,
ja pilnuję go z zegarkiem.
Złoty zegar grzecznie chodzi,
złoty rubel złoto rodzi.
Hej, życie, życie...

Byłby Jan niby szczeniak łzawy,
do księżyca przeciągle zawył.
Ale księżyc czemuś na wschód szedł
w sołtysowym kudłatym futrze.

VI

Były sołtys otworzył świetlicę.
Tylko jeden. Nie podniósł głowy.
A co tu po nocy robicie,
synu bezrolnej wdowy?
Przecie dali wam pańskiej ziemi,
przecie dali ci, smarkaczu, a za co?
Dlaczego po nocy siedzisz?
Jaką zajmujesz się pracą?

„Tak tak, trzy razy: tak!
Na pierwsze, że o większą tu rzecz się rozchodzi
na drugie, że innego chcą szczęścia ciałem i duchem młodzi
na trzecie: w szprychy socjalizmu
któż ośmieli się wsadzać pałki?..."

Wam, sołtysie — złych snów mielizna,
nam — zwycięstwa klasowej walki.

To tak?
Tak.

Obereczek, dobry taniec,
szumi we łbie, koniec — za nic!
Oj dziś dziś, oj dziś dziś... brzdęk!

W moje dobro głębokoś, ty psie, wnikł.
W obietnice, jak dziennik, szczodry
Sypie pysk, niby nowy siewnik!
Widzisz figę? A spróbuj, odgryź!
Plakaciki, obrazki, hasła!
Siedzisz, donosy piszesz?
A bodajby cię cholera trzasła!

Nie podchodźcie, były sołtysie, bliżej!
Nie podchodźcie. boście pijani,
były sołtysie Janie!

Hehe, jak się ma oczy, to się patrzy.
Jak się ma ręce, to dźwiga się kamień
Niech mi ręka nie zadrży!
Niech ucichnie zębów szczękanie!

„Dobra ziemia, tłusta ziemia,
jeden miał ją, drugi nie miał,
jak reforma, to reforma,
niechże kark rozegnie fornal!"

W polu młody kiełkował świt.
Były sołtys zatrzasnął drzwi.
Idź, sołtysie — za czyn twój za chciwą wrogość
po raz drugi, niech cię rozgrzeszy proboszcz.

Wiktor Woroszylski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI przełożył SEWERYN POLLAK

CUDA!

Jakby dno beczki
prawidłowym dyskiem
stał księżyc
nad pałacem Lewadyjskim.

Wzeszedł nad ziemię
i zalewa nagle
i ziemię,
i morze
i świat,
i Lewadię.

W pałacach carskich —
chłopi - kuracjusze.
Księżyc jak głupi
przewraca pyskiem.

Gapią się
oczy
z pyska płaskiego
w afisz na murze:
„Pojutrze
występ
towarzysza Majakowskiego".

Sam samodzierżc..,
goniąc po tej sali,
w kule bilardów walił.

I tu,
gdzie stroił
z markierami fochy,
wbijając
bile
przy świty rżeniu,
objaśnień moich
słuchają
chłopy
o formie wierszy,
o ich znaczeniu.

Dzwonek.
Księżyc
zmętniały się słania.
Stoję na estradzie
w świetle
elektryki.

Siedzą przede mną
spod Tuły,
Riazania,
drapią się w brody rosyjskie,
czochrają palcami
płowe kosmyki.

Twarze ich jasne
jak bochenki chleba,
smutne — gdy trzeba,
wesołe —
gdy trzeba.

Niech ten,
co Sowietów
władzę ma w cenie,
rośnie z radości,
jakby się opił:
gdzie jeszcze
można
w pałacu na scenie
czytać —
co?
Wiersze?
I komu?
Chłopom!

Innego kraju
nie znam jako żywo
gdzie jeszcze
takie
rzeczy są możliwe!

Jakby
o ludzie
myślę o tem.
Tak już jest dzisiaj,
a co będzie potem?

Widzę:
odczytem
zbudowani,
wychodzą dwaj chłopi
na schwał zbudowani.

Siedli
przy klombie
pod kulą białą,
jeden
powiad
— Wiesz co, Iwanie,
bardzo mu się udało
tamto
ostatnie
zrymowanie. —

I długo
lewadyjczycy
gadali
na żółtych ścieżkach,
u sinej fali.

Z WĘGIERSKIEJ WYSTAWY
(JAN BALOGH NAGY)

W bieżącym sezonie węgierskie wystawy malarskie demonstrują dzieła twórców mało znanych szerokiej publiczności: Stefana Nagy, Józefa Koszty — i obecnie Jana Balogha Nagy.

Jan Balogh Nagy (1873 — 1919) — dziecko peryferii wielkiego miasta — poznał całą gorycz i nędzę proletariackiego życia. Od najmłodszych lat musiał pracować jako malarz pokojowy, by utrzymywać siebie i matkę. Przez krótki okres czasu kształcił się w Monachium, lecz nędza zmusiła go do powrotu. Na przedmieściu Budapesztu zamieszkał z matką pracując nadal w swoim starym zawodzie. Dzięki swej niezłomnej wierze i sile twórczej stał się Balogh mimo wszelkie przeciwności jednym z największych malarzy węgierskich.

Cała ta nędza, cała krzywda społeczna bije z jego obrazów. Balogh oddaje rzeczywistość sugestywnie ukazując nieubłagane różnice i przeciwieństwa klasowe.

Temat (najczęściej ciężka praca robotników, nędza ich życia, autoportret) nie jest dla niego jedynie motywem malarskim, jest czymś więcej — przeżyciem i to przeżyciem realnym o bogatej gamie uczuć. Autoportrety Balogha przemawiają do nas grą świateł i cieni równą szlachetnej kulturze malarskiej Rembrandta czy El Greca.

Balogh w twórczości swej daje syntezę głęboko rozumianego człowieczeństwa i przez pryzmat własnej biedy ukazuje świat pracy i nędzę robotnika.

rp

Jan Balogh Nagy — „Fragment pracowni"

ROGER VAILLAND

W NIEDZIELĘ RANO na ulicy „Faubourg du Temple"

W niedzielę rano odwiedziłem moich przyjaciół, Jana i Żanetę, którzy mieszkają w X okręgu — na zboczu, między dawnym placem Walki („place du Combat"), zwanym obecnie „placem Stalingradu", i kanałem Św. Marcina. Było już pół do dziesiątej. Żaneta przygotowywała właśnie śniadanie. Oboje byli w świetnych humorach, bo się porządnie wyspali. Jak już zaznaczyłem, była to niedziela.

Jan jest monterem - elektrotechnikiem. Żaneta ekspedientką, obecnie bez pracy. Pobrali się dwa lata temu i mają dziewięciomiesięczne dziecko, małą dziewczynkę, dla której Jan zmontował z dwóch pustych rur coś w rodzaju krzesła, które się toczy, gdy mała rusza nóżkami. Pokazywali mi to krzesło szczegółowo — podobno jest lepiej pomyślane, solidniej zbudowane i o wiele tańsze niż wszystkie tego rodzaju krzesełka, sprzedawane przez wielkie domy towarowe. Szkoda, że się zupełnie nie znam na niemowlętach.

Jan jest bojowym komunistą, synem bojowego komunisty. Żaneta jest również bojowa. Mają zaufanie do przyszłości — to się rozumie samo przez się. Jednakże — pomimo świetnego humoru z powodu świątecznego przedpołudnia — widzę, że Jan jest wyjątkowo stroskany. W zeszłym roku często spędzał weekend z żoną i całą bandą przyjaciół na wycieczce kampingowej — śmiano się wesoło podczas tych wypadów na wieś. Małe ich mieszkanko zawsze rozbrzmiewało śmiechem. Ale w tym roku, z twarzy Jana można wyczytać, że nie śmieje się już tak często. Te małe zmarszczki naokoło ust mają inny zarys. Spojrzenie również jest inne, mniej w nim blasku — zamiast tego jakiś niepokój, który rzuca cień. Zapytałem Jana co go gnębi.

— Otóż to. Całkowity idiotyzm! Nigdy nie przypuszczałem, że będę tak czuły dla tego szkraba. Co mnie gnębi? — rzecz prosta — pieniądze! W zeszłym roku można było jeszcze czasem wypić kieliszek z kolegami albo zjeść obiad w restauracji. W tym roku nie mogliśmy sobie pozwolić nawet na kamping. W niedzielę po południu zostajemy w domu, żeby nie mieć okazji do wydatków. Ceny podnoszą się o tyle szybciej od płac, że musimy się liczyć z każdym frankiem i trzeba po prostu cudów żeby każdego tygodnia związać koniec z końcem. Ostatecznie ogarnia człowieka depresja gdy musi się liczyć z każdym wydatkiem i gdy widzi, że stopa życiowa stale się obniża...

Żaneta, która zeszła po mleko, wróciła w tej chwili. Była blada ze złości — widywałem ją zawsze różową i roześmianą. W ręku trzymała butelkę z mlekiem.

— To skandal, skandal — wołała. — Czterdzieści cztery franki za jeden litr mleka.

Pomyślałem, że o tej samej porze, w całym mieście, dziesiątki tysięcy młodych kobiet wydaje ten sam okrzyk oburzenia. Przez skojarzenie, przypomniałem sobie ten dzień październikowy, gdy Paryżanki poszły do Wersalu, by zabrać (siłą) „piekarza, piekarzową i piekarczyka". Nie ulega wątpliwości, że obecne kobiety będą godnymi wnuczkami tamtych, jeżeli nadarzy się ku temu sposobność.

Potem Emil, kierownik odpowiedzialny różnych organizacji młodzieżowych, i dwóch innych kolegów przyszło po Jana, żeby razem pójść na ulicę Faubourg du Temple. Sytuacja na Faubourg du Temple przedstawiała się następująco:

Ale przede wszystkim muszę wyjaśnić czytelnikom z prowincji, co to jest: „Faubourg du Temple". Między placem Republiki i Belleville, na granicy X i XI okręgu, ulica Faubourg du Temple odgrywa rolę łącznika między robotnikami północnych dzielnic Paryża, rzemieślnikami wschodnich i robotnikami fabrycznymi zachodnich. Schodzi się ulicą Faubourg du Temple, gdy się idzie do pracy, — wchodzi się nią pod górę, gdy się wraca do siebie. Jest to jeden z największych szlaków ludności pracującej Paryża, tak samo jak ulica „de la Gaité", „avenue d'Italie" i Faubourg Saint Antoine. Na ulicy Foubourg du Temple jest dużo sklepów, szczególnie sklepów spożywczych, gdyż wracając do domu, każdy tu robi zakupy. Ulicę zalega zawsze olbrzymi tłum, posuwający się w dół i w górę, tak gęsty, że z chodników przelewa się aż na środek jezdni. Samochody mogą posuwać się jedynie bardzo powoli, trąbiąc bez przerwy. Szoferzy, którzy dobrze znają Paryż, unikają ulicy Faubourg du Temple, tak że należy ona prawie wyłącznie do piechurów, szczególnie w niedzielę o jedenastej rano, gdy gospodynie idą na rynek a mężczyźni śpieszą na aperitif. Trzeba również powiedzieć, że Faubourg du Temple, tak samo jak Faubourg Saint Antoine, ma solidne tradycje rewolucyjne, i że wznoszono tam barykady podczas każdej z czterech rewolucji, jakie Paryż przeżywał w ciągu stu pięćdziesięciu lat.

Otóż poprzedniej niedzieli bandy Gaullistów przyszły na Faubourg du Temple żeby tam sprzedawać pismo faszystowskie, które nazywa się — o ile wiem — „Rassemblement Ouvrier" (Zrzeszenie robotnicze). Było to zaledwie kilka dni po morderstwie w Grenoble. Ludność Faubourg du Temple zareagowała dość żywiołowo. Całe paki dziennika faszystowskiego zostały podarte, poza tym poturbowano z lekka kilku zaplecznikow generała. Gaulliści zapowiedzieli, że wrócą właśnie tej niedzieli z większymi siłami, i że bojówki ich, składające się jak wiadomo z apaszów marsylskich, bezrobotnych bokserów i wszelkiego rodzaju mętów „Lumpenproletariatu" będą osłaniali zaplecznikow generała i zaatakują sprzedawców prasy ludowej. Dlatego też Jan, Emil i ich towarzysze szli w kierunku Faubourg. Postanowili nie dać się sprowokować. Jeden z nich miał na policzku bliznę po uderzeniu pałką gumową w czasie zamieszek w Japy. Opowiedzieli mi z wielkim podnieceniem dalsze wyczyny pobitego, gdy pod wpływem bólu i oburzenia, czerwona zasłona gniewu zaćmiła mu oczy.

Doszliśmy do Faubourg du Temple ulicą Saint Maur, czyli na sam środek Faubourg, parę minut przed jedenastą. Na rynku niezliczone tłumy. Pomimo hałasu rynku i zgiełku jaki się zawsze wznosi nad tłumem w zatłoczonej ulicy, słychać było okrzyki sprzedawców gazet. Nie Gaullistów. Słychać było:

„Kupujcie „L'Humanité" wydanie niedzielne... „Avant-Garde" organ młodzieży republikańskiej... „La Lutte Socialiste" (Walka socjalistyczna)... „La Vie Ouvriere" (Życie Robotnicze)... „L'Action" (Czyn).

Gdy grupki ludzi przechodziły obok siebie, przystawały i przez chwilę skandowały razem:

„Roz — wią — za — nie uzbrojonych grup RPF".

Potem padało pytanie:

„Czy widziałeś Gaullistów?"

Podobno widziano jedną grupę. Jedni mówili, że Gaulliści są na górze Faubourg, inni, że na dole. Jednym słowem szukano ich.

Jan, Emil i ja, znaleźliśmy ich bardzo łatwo. Było ich czterech. Szli razem, trzymając „Zrzeszenie Robotnicze" szeroko rozłożone na piersiach. Przed nimi, za nimi, obok nich, chmara sprzedawców „L'Humanité", „Avant-Garde" itd. wykrzykujących na całe gardło tytuły swych gazet. Również kilku towarzyszy hiszpańskich, sprzedających „Mundo Obrero".

Gaulliści byli niespokojni. To się widziało. Można to było zresztą zrozumieć. Ciągle odwracali głowę, żeby się upewnić, że ich „osłona" posuwa się za nimi. W tłumie nie trudno było rozpoznać — facetów „osłony" gaullistowskiej; rodzaj boksera o olbrzymich łapskach, ubranego w jasno popielatą kamizelkę, jaką zwykle noszą sutenerzy, zresztą zupełnie przystojnego. Potem jeden mały, zdenerwowany, w beżowym nieprzemakalnym płaszczu, pod którym trzymał gumową pałkę. Kilku przedstawicieli Afryki północnej. Każdy z nich otoczony, pilnowany. Nie wyglądali zbyt pewni siebie.

Sprzedawcy „Zrzeszenia Robotniczego" zatrzymali się na rogu ulicy Aix i ich „osłona" rozstawiła się naokoło nich, w pewnej odległości. Wówczas jeden z towarzyszy oparł swój rower o mur, Emil wlazł na ramę, towarzysz trzymał go za nogę, żeby nie stracić równowagi, i Emil zaczął przemawiać do przechodniów. Natychmiast zebrał się olbrzymi tłum hamujący całkowicie ruch na ulicy. Zewsząd nadchodzili przechodnie, żeby zobaczyć co się dzieje, i tłum zwiększał się z minuty na minutę. Dwie trzecie tłumu stanowiły kobiety — wszystkie wściekłe z powodu podwyżki cen.

Emil przemawiał zaledwie dziesięć minut. Mówił o cenach i wyjaśnił dlaczego powinno się obalić rząd Queille'a i następnie utworzyć rząd unii demokratycznej. Kobiety potakiwały. Był jednomyślnie oklaskiwany, gdy oświadczył, że naród francuski nigdy nie przyłączy się do wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Potem rozległy się okrzyki oburzenia, gdy ujawnił, że części składowe „V 1" są produkowane pod kierownictwem inżynierów niemieckich w jednej z fabryk dzielnicy, na ulicy Claude Vellefaux. Na zakończenie, wszyscy rozgorączkowali się, gdy powiedział co myśli o generale de Gaulle i stwierdził, że Faubourg nie będzie już znosił obecności prowokatorów.

Gaulliści byli teraz całkowicie zgubieni w tłumie. Nie chciałbym być na ich miejscu. A jednak nie uczyniono im nic złego, nawet nie podarto ich gazet. Na Faubourg du Temple nie ma tchórzy i nikt nie wykorzystuje swojej przewagi. A przecież Gaulliści z palkami gumowymi mogli być zgnieceni jak źdźbła słomy. Ograniczono się do przeprowadzenia dyskusji z zaplecznikami generała. Nie mogę powiedzieć, żeby byli przystojni: jeden z nich zezował, drugi zaś był chuderlawy i ciągle mrugał jednym okiem, jak sowa wystawiona na słońce. Przyjemnie było widzieć obok nich naszą piękną i roześmianą młodzież, która sprzedawała „Avant-Garde". Najzabawniejsza chwila nastąpiła wówczas, gdy jedna z towarzyszek — nawiasem mówiąc bardzo przystojna — namówiła ich do zakupienia broszury przeciwko Franco. Każdy z nich zapłacił swoje 12 franków.

Parę minut przed dwunastą, ciężarówka z „gliną" zatrzymała się tuż obok nich „na wszelki wypadek". Policjanci nie wykazywali zresztą żadnej gorliwości. Widziałem kilku, którzy zażenowani uśmiechali się do pięknych sprzedawczyń „Avant-Gardy". Gospodynie głośno wyrażały swe oburzenie, że po to opłaca się policjantów, żeby strzegli sprzedawców dziennika, którego zresztą nikt nie kupuje.

Stanowisko zajęte przez gospodynie było największym wydarzeniem politycznym tego przedpołudnia. Jan wyciągał z tego następujące wnioski:

— Zwiększa się bojowość mas. Jesteśmy w okresie wzrostu sił. Jest coraz mniej obojętnych. W chwili obecnej, w narodzie francuskim, nawet ci którzy nie są zorganizowani, nawet apolityczni, manifestują z coraz większym zapałem. Nasza rola, rola awangardy proletariatu, polega na tym, byśmy tej walce nadali całe jej znaczenie. Rzeczą najważniejszą jest jednakże to, że coraz szersze masy zdają sobie sprawę z obecnej sytuacji, wyrobiły sobie sąd o generale i polityce amerykańskiej rządu, odrzucają wojnę i nie poddają się rezygnacji.

Roger Vailland
przełożyła **J. Kasińska**

Dyskusja o młodej poezji

O wyjście z kryzysu

MŁODĄ powojenną poezją polską nie zajął się dotychczas poważnie żaden krytyk.

Zeszłoroczne seminarium, zorganizowane w Nieborowie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki wniosło, co prawda, pewien ferment, doprowadziło do starcia między przedstawicielami pokoleń i grup poetyckich. Różewicz, Bratny, Gruszczyński i inni szturmowali „jastrunowski estetyzm", Jastrun zaś zwymyślał młodych za łobuzerstwo.

Krytycy (Żółkiewski, Michalski, Wyka i Kubacki) sekundowali młodym podejrzaną życzliwością, podejrzaną, bo pozbawioną wyraźnej koncepcji krytycznej i jasnego poglądu na politykę kulturalną. Pod tym względem rzeczywiście trudno było przeprowadzić wyraźną linię podziału między postawą krytyki lewicowej a „polonistyczną" i dość konserwatywną postawą profesorów.

Nieborów, wbrew dobrej woli Ministerstwa i mimo inspirowane wypowiedzi z karykaturami młodych, zamieszczane na szpaltach stołecznych i pozastołecznych pism literackich, nie miał głębszego znaczenia i nie przyczynił się do krystalizacji oblicza młodej poezji.

Kolumny młodych w różnych pismach literackich także nie wniosły nic szczególnego, nie sprowokowały poważnej wypowiedzi krytycznej.

A może należy to wytłumaczyć brakiem materiału faktycznego, zasługującego na poważną analizę? Może młoda poezja naprawdę jest tak kiepska, że nie warta zachodu?

Tak nie jest. Wystarczy choćby porównać start Skamandrytów i Awangardy ze startem nowej powojennej liryki, aby przekonać się o przewadze tej ostatniej, przewadze polegającej przede wszystkim na dojrzałości postawy artystycznej, wyniesionej z wojennych doświadczeń. Start nowej poezji odbył się bez skamandryckiego kuglarstwa, pozbawiony był cech, awangardystycznej awantury, a „strzępiastość", którą wytknął także młodym Julian Tuwim, bynajmniej nie świadczy o niezaradności formalnej, a odbija raczej dramatyczny charakter młodej liryki.

Start młodej poezji był dobry. Dlaczego więc jest tak źle? Czemu powaga i namiętne czyhanie na poezję ustąpiły miejsca zastojowi i typowemu już dziś rozdwojeniu jaźni, stanowiącemu bodaj największą groźbę?

Na czym polega ta groźba? Polega ona na dwuznacznej postawie ideologicznej bodaj najwybitniejszych przedstawicieli młodej liryki, którzy włączając się w walkę polityczną naszych dni, wytrąceni zostali ze swego warsztatu artystycznego, ulegli panice i rozdwojeniu, poszli na łatwiznę, popisując się na szpaltach prasy i periodyków literackich raz to pseudopolitycznym, płytkim poematem, raz to zalatującym egzystencjalistyczną beznadziejnością wierszem lirycznym.

Spóźniony proletkultyzm na jednym biegunie, a filisterstwo i dekadentyzm na drugim — oto rezultat rozdwojenia jaźni, występującego najdobitniej w opublikowanych ostatnio wierszach Tadeusza Kubiaka.

Nie ma w tym nic zdrożnego, kiedy poeta starszej generacji, w wieku Staffa lub choćby nawet Gałczyńskiego czy Wygodzkiego nie może się zdobyć na konsekwentne ujednolicenie swojej twórczości. Ale dla poezji startującej stanowi to wielkie niebezpieczeństwo.

Nie można być „od czasu do czasu lirykiem". Sztuka nim być zawsze. Zarówno, gdy się pisze o trasie W—Z, jak i o swoich oczach, o górniku, który czytał Marksa i o żonie. Nic ma neutralnej tematyki, każdy temat poetycki leży w strefie ideologicznej. Przecież, aby nauczyć się odróżnić Majakowskiego od Jesienina wystarczy przeczytać dwa utwory tych poetów: np. wiersz pt. „Dobre obchodzenie się z końmi" — pierwszego i „Pieśń o suce" — drugiego. Nawet wegetarianizm w poezji jest zjawiskiem klasowym.

Gdzie tkwi przyczyna niemoralnego rozdwojenia ideologicznego młodej poezji, częstej niezgodności między ideologią wyznawaną przez młodych pisarzy, a ich pisarską praktyką?

Przyczyn jest niewątpliwie wiele. Wchodzi bezprzecznie w rachubę nacisk tradycji upozorowanego dramatu, który w ciągu wieków ciążył na naszej poezji, tradycji, która wycisnęła także swoje piętno na najwybitniejszym poecie proletariackim, Władysławie Broniewskim, piewcy walki klasy robotniczej i... „Baru pod zdechłym psem". Działają przyczyny obiektywne, natury socjologicznej, jak pochodzenie społeczne młodych poetów, wywodzących się w większości swojej ze środowiska drobnomieszczańskiej inteligencji, podatnej na wahania ideologiczne i hamletyzowanie. Działały kompleksy polityczne w rodzaju kompleksu popowstaniowego. Ideologia londyńska, która dała się we znaki pokaźnemu odłamowi młodych literatów, przezwyciężona została jednak stosunkowo dość szybko.

Jakie jest więc źródło kryzysu młodej poezji? Czemu „Czerwona rękawiczka" Różewicza znacznie mniej niepokoi, niż jego „Niepokój", czemu milczą już od dłuższego czasu i Gruszczyński i Radek?

Tragizm „epoki pieców" zostawił ślad w odczuwaniu i wizji artystycznej młodej kadry literackiej. Optymizm „Wiosny i wina" byłby dziś niewątpliwie nie na czasie. Ale przecież trzeba się liczyć z tym, że na tragizmie czasów okupacji żerują także egzystencjaliści i katoliccy pesymiści, że problematyka humanistyczna podjęta przez rewolucjonistów musi odznaczać się ideologiczną klarownością i jasną perspektywą.

Ubojowienie życia politycznego i zaostrzenie walki klasowej w naszym kraju zastało młodą poezję nie w pełni przygotowaną. Oportunistyczna polityka kulturalna nie sprzyjała ani zahartowaniu charakterów, ani dojrzewaniu talentów. Główna przyczyna zahamowania rozwoju młodej liryki była subiektywna; winni są przede wszystkim ci, którzy źle spełniali swoją rolę organizatorską i inspiratorską, wprowadzając często swoją chwiejnością i eklektyzmem zamęt do młodej literatury. Występujący na zamkniętych zebraniach młodzieży poetyckiej czołowy krytyk, nie pozbawiony osobistego czaru i erudycji, już od dłuższego czasu usiłuje przekonać młodych poetów o konieczności upolitycznienia wiersza; gromiło się niby konserwatyzm, dekadentyzm, estetyzm i nadrealizm. Ale cóż z tego? Słuszne niejednokrotnie postulaty zawieszone były w powietrzu, nie nawiązywały i nie analizowały istniejącego dorobku poetyckiego.

Wielka krytyka rewolucyjna była i jest krytyką postulującą, normatywną. Wielki rosyjski krytyk rewolucyjny XIX wieku W. Bieliński w sposób najbardziej dobitny i konkretny formułował ideologię literacką swej epoki, ale jego twórczość krytyczną cechowała niezwykle wyostrzona czujność wobec najbłahszych pozornie zjawisk literackich.

Nasi krytycy formułowali postulaty. Ale cóż z tego, że słusznym nawet często wypowiedziom krytycznym nie towarzyszyła odpowiednia polityka redakcyjna czołowego pisma lewicowego „Kuźnicy", które faworyzowało staroświeckość, pseudoklasycyzm lub w najlepszym razie jakiś spóźniony futuryzm.

Nic dziwnego, że pozbawiona trybuny prawdziwie nowatorska poezja nie mogła się rozwijać, iż inspirowani poeci często byli oszukiwani przez swoich inspiratorów i krytyków, którzy poklepywali ich po ramieniu, jako dobrych chłopaków, zamykając przed nimi jednocześnie drogę na Parnas. Mocna w postulowaniu krytyka w praktyce kapitulowała przed drobnomieszczańskim gustem i drobnomieszczańską estetyką.

Ta dwoista, niewyraźna postawa krytyki i polityki kulturalnej musiała pociągnąć za sobą scharakteryzowaną już wyżej dwoistość i brak wyraźnego oblicza moralno - politycznego młodej poezji. Tak zrodził się cielęcy optymizm, anemiczny lojalizm i gęślarstwo na jednym biegunie, a bezwyjściowy tragizm starej rekwizytorni poetyckiej — na drugim.

Czujność krytyki radzieckiej, która potrafiła uchronić Gudzenkę i jego rówieśników od dekadenckich naleciałości i wytknąć jednocześnie cechy prostactwa optymizmowi Twardowskiego — winna być dla nas przykładem.

Arnold Słucki

Kronika radziecka

W 10-tą rocznicę śmierci K. S. Stanisławskiego

W ZWIĄZKU Radzieckim utrwaliła się piękna tradycja: mieszkania wielkich mistrzów sztuki — pisarzy, kompozytorów, artystów — zachowuje się po ich zgonie jako muzeum, jako pamiątkę narodową. Dziś jeszcze można oglądać pokój, w którym pisał Mikołaj Ostrowski, mieszkanie Czajkowskiego. Głośna jest siedziba Lwa Tołstoja — Jasna Polana, którą faszyści niemieccy rozgrabili i zbezcześcili podczas wojny.

W samym sercu Moskwy mieści się cicha i spokojna uliczka przy której mieszkał K. S. Stanisławski. Kiedyś nazywała się Lieontiewskim zaułkiem (Lieontiewskij pierieułok), obecnie nosi imię największego teoretyka i praktyka rosyjskiego teatru. Mimo, że uliczka wychodzi na położoną w śródmieściu Moskwy ulicę Gorkija, nie docierają tu odgłosy klaksonów, ani charakterystyczny zgiełk wielkomiejski. Na tej uliczce pozostało jeszcze wiele starych domów — osobniaków, wybudowanych ongiś przez szlachtę a częściowo przez bogatych mieszczan moskiewskich. W jednym z takich domów spędził ostatnie lata swego bogatego i pracowitego życia Stanisławski. Tu zmarł dziesięć lat temu, 7 sierpnia 1938 roku.

W domu tym mieściło się jego mieszkanie i tuż obok sala, w której odbywały się próby stworzonego przezeń studia teatralnego. Stanisławski mógł wprost ze swego gabinetu przejść do sali, by kierować próbami. Gabinet — zachowany w takim stanie, w jakim był za życia wielkiego artysty — tchnie skromnością i jakąś, można by powiedzieć, intymnością. Oto biurko, przy przy którym pracował, fotel, w którym się pogrążał w rozmyślaniach oto szfa dębowa, pełna książek, wyłącznie bezpośrednio związanych z teatrem. Na półkach leżą rękopisy, w których zawarł Stanisławski olbrzymi dorobek swej nowatorskiej, śmiałej myśli. Przez okna zawieszone ciężkimi firankami, słabo sączy się światło, tak, że panuje niemal półmrok...

Z nazwiskiem Stanisławskiego łączy się przełom w dziejach teatru rosyjskiego, cały okres historii tego teatru. Trudno wypowiedzieć nazwisko Stanisławskiego, żeby od razu nie pomyśleć o jego „systemie", głoszonym i rozwijanym w wielu pracach. Poszczególne zasady tego „systemu" odnaleźć można zarówno w świetnej książce o „Pracy aktora nad sobą", jak i w znanej autobiografii artystycznej „Moje życie w sztuce" Istnieje zresztą cała obszerna literatura badawcza, poświęcona temu „systemowi". Nie tu miejsce na wykład założeń teoretycznych „systemu" Stanisławskiego. Warto jednak przytoczyć kilka zdań z drugiej części książki „Praca aktora nad sobą", która wkrótce ma być opublikowana. W tych zdaniach Stanisławski zwięźle ujął główne zasady swego systemu:

„Pierwsza zasada... to jak wiadomo, zasada aktywności i działania, głosząca, że nie wolno grać postaci i namiętności, a trzeba działać w postaciach i namiętnościach roli.

Druga — to znakomity aforyzm puszkinowski, głoszący, że praca artysty sprowadza się nie do stworzenia samego uczucia, a tylko sugerowanych okoliczności, rodzących w sposób naturalny i intuicyjny prawdę namiętności.

Trzecia zasada — to organiczna twórczość samej naszej istoty. ...Proces przeżywania ma w naszym zawodzie tak ogromne znaczenie dlatego, że każdy krok, każdy ruch i działanie podczas twórczości powinny być ożywione i uzasadnione naszym uczuciem. Wszystko, co nie jest przeżyte, pozostaje martwe i psuje robotę artysty. Bez przeżycia nie ma sztuki. Oto dlaczego zaczęliśmy studiowanie systemu od tego najważniejszego momentu twórczości..."

Kiedy się mówi o teatrach moskiewskich, przede wszystkim na myśl przychodzi MCHAT. A kiedy się mówi o MCHAT — zjawia się obraz twórcy tego teatru, Stanisławskiego. Stanisławski był duszą MCHAT, od chwili jego powstania pięćdziesiąt lat temu, w 1898 roku, aż do swego ostatniego tchnienia.

MCHAT — to była rewolucja na scenie W przenośni i dosłownie. Warto przytoczyć charakterystyczny incydent, który świadczy o lęku, jakim napawał carskie stupajki młody, rewolucyjny zespół aktorski, kierowany przez Stanisławskiego. Kiedy spytano ówczesnego policmajstra moskiewskiego, Trepowa, jak mu się podoba nowy teatr, odpowiedział:

Ja tam nie będę chodził — tam zabijają carów — po czym dodał: — Niech no oni tam będą ostrożniejsi, bo im zamknę teatr.

Albo taki obrazek:

Podczas próby generalnej sztuki Gorkija „Mieszczanie" do teatru odkomenderowano większy oddział policji, a na ulicach, przylegających do gmachu teatru patrolowali konni policjanci. Stanisławski zażartował:

— Można by pomyśleć, że to nie próba generalna, a bitwa generalna...

To był żart, ale kryła się w nim wielka prawda nowego teatru, jego nowego ducha. Bo Stanisławski i jego teatr walczyli nie tylko z szablonem i rutyniarstwem o nową formę wyrazu scenicznego. Ale ze sceny MCHAT wiał również duch walki o nową treść życia, o odświeżenie dusznej atmosfery, panującej w ówczesnej Rosji. Dla tego w taką harmonijną całość z teatrem Stanisławskiego zrosła się twórczość Czechowa. W interpretacji MCHAT bohaterowie i bohaterki dramatów czechowskich znaleźli najdoskonalsze, najszczersze i najbardziej wstrząsające wcielenie. Dlatego tak zwarcie przylegała do nowego teatru treść sztuki Gorkija „Na dnie", „Mieszczanie".

60 lat swego życia oddał Stanisławski teatrowi. Z prawdziwym wzruszeniem czyta się dziś wczesne „notatki artystyczne", w których krytykował swój pierwszy debiut na scenie, kiedy był jeszcze czternastoletnim chłopcem. Od tego debiutu ciągnął się długi okres pracy i walki. Stanisławski wciąż tworzył nowe ośrodki sceniczne: kółka teatralne, studia, szkoły. Ale najwłaściwszą formę działalności znalazł Stanisławski w słynnych gawędach z członkami studium. W tych długich intymnych gawędach przekazywał Stanisławski swoje bogate doświadczenie aktorskie i reżyserskie. Wymieńmy kilka ról spośród mnóstwa kreowanych przez Stanisławskiego: Satin ze sztuki „Na dnie" Gorkija, Gajew z „Sadu wiśniowego" i Astrow z „Wujaszka Wani" Czechowa, doktór Sztokman molierowski Argan, gribojedowski Famusow. W tych rolach osiągnął Stanisławski szczyty sztuki aktorskiej. A Stanisławski — reżyser? Wielobarwny i wielostronny, pełen niewyczerpanej i zawsze trafnej inwencji. Pokolenia całe upajały się cudownym nastrojem baśni wyczarowanym przez Stanisławskiego w „Niebieskim ptaku" Maeterlincka. Sztuka ta wciąż jest wystawiana na scenie MCHAT w takim kształcie scenicznym, jaki jej nadał wielki mistrz teatru. A obok baśni — realistyczna reżyseria sztuki Ostrowskiego „Gorące serca", liryczny „Eugeniusz Oniegin" Czajkowskiego.

Nie można się dziwić temu pietyzmowi, jakim otoczona jest w Związku Radzieckim pamięć Stanisławskiego. W 10-tą rocznicę zgonu złożyli hołd jego cieniom nie tylko najbliżsi, przyjaciele i uczniowie, którzy go znali za życia, ale tysiączne tłumy wielbicieli teatru. Do muzeum, otwartego uroczyście w 10-tą rocznicę, pielgrzymują z Moskwy i innych miast radzieckich nie tylko ludzie teatru, ale prości ludzie pracy, przedstawiciele tego świata, któremu Stanisławski ofiarował swój wysoki kunszt artystyczny.

S. K.

JANUSZ BOGUCKI

KARIERA MUZY KLIO

W roku bieżącym zarówno wypowiedzi czynników państwowych jak liczne głosy naszej prasy literackiej zwróciły szczególną uwagę na sprawę praktycznej realizacji postulatu upowszechnienia kultury. Dyskutowano nad programem, nad metodami działania, nad udziałem artystów w tym społeczno - kulturalnym apostolstwie. Zoile i antyzoile wytężali myśl w kierunku jak najbystrzejszej argumentacji. Najmądrzej wreszcie postąpił „Czytelnik", wysyłając literackich uczestników tych dysput do wsi i miasteczek, aby spytali o zdanie strony najbardziej zainteresowanej w przedmiocie sporu. Materiały zebrane przez pisarzy w toku ich rozmów z czytelnikami stanowią

Ostatnia skrzynia już na aucie

wskazówkę niezwykle cenną dla wszelkich poczynań „upowszechniających". Ich praktyczne znaczenie pragnąłbym rozważyć i określić w odniesieniu do jednego tylko rodzaju tej akcji, który — jakkolwiek mało znany naszej opinii — osiągnął już dziś efekt w penetracji terenowej. Chodzi tu o wędrowne wystawy muzealne.

O wielkim, rewolucyjnym znaczeniu tego skromnego z pozoru przedsięwzięcia, pisałem rok temu w „Kuźnicy" („W perspektywie pewnego doświadczenia" Nr 50 r. 47), gdy rzecz cała tkwiła jeszcze w powijakach, ząbkując skromnie pierwszymi doświadczeniami. Dziś jest już inaczej. Nie pożałowano paru milionów państwowej gotówki, która pozwoliła na przygotowanie ośmiu wystaw objazdowych. Ich podróże tegoroczne dają w wyniku bogatą podbudowę doświadczenia, na której można już oprzeć i rozwinąć poważną planową robotę w skali ogólnopolskiej.

Nim spróbuję określić sens tej wstępnej ofensywy i wyprowadzić stąd jakieś wnioski na przyszłość — podkreślić muszę pewną zasadniczą różnicę zachodzącą w trybie upowszechniania wartości kulturalnych minionych i współczesnych. Otóż muzy współczesne, by dotrzeć do niewyrobionego odbiorcy, muszą dziś w praktyce dokonywać pewnego specjalnego wysiłku, dzielić swój repertuar na lekko i ciężkostrawny: Literatura, muzyka, plastyka, teatr, nawet film mają jakby po dwa różne profile. Jeden prosty i krzepiący — dla ludu, drugi dla intymnych wielbicieli — grymaśny i tajemniczy. Większość boginek Parnasu często woli jeszcze obracać się do publiczności tym drugim obliczem. Pierwszy, mimo pilnego i ofiarnego ślęczenia nad maquillagem nierzadko jeszcze zawodzi: ani lud, ani wielbiciele nie zgadują w nim oblicza swojej muzy. Ten stan rzeczy, jakkolwiek uznać go można za przejściowy, nieraz jeszcze da się we znaki naszej generacji, budząc sprzeciwy, gniewne spory i niezawsze skuteczne wyrzuty sumienia.

Jedna tylko Klio, opiekunka historii i muzealnictwa, nie zna w tej mierze trosk podwójnego życia trapiących dziś jej towarzyszki. Ongiś — gdy inne zbierały oklaski ludu — muza jakże ekskluzywna, powierzająca swe tajemnice tylko uczonym wybrańcom — w naszych czasach, robi olśniewającą karierę, kusząc zarówno uczonych jak artystów i polityków, zaspakajając potrzeby wielkiej rzeszy czytelników i widzów muzealnych. Patronki muzealnictwa nie dręczy pytanie, który profil pokazać ludziom. Staje na wprost — z odkrytą twarzą, podając tę samą prawdę ludziom prostym i ludziom wyrafinowanym. Oczywiście, że i wystawę muzealną przeznaczoną dla niewykształconego odbiorcy kształtować muszą wymagania dydaktyczne. Stwierdzić jednak trzeba, że prawdziwe wartościowe dzieło dydaktyki muzealnej nie zawiera w sobie elementów kapitulacyjnych i w równej mierze, jakkolwiek w sposób różny, pasjonować może umysł prostaczka i uczonego. Rozległe pojęta dydaktyka leży bowiem w naturze muzealnictwa: sztuka muzealna to sztuka pięknego i jasnego pokazywania wartości uformowanych i pozostawionych przez mijające dzieje.

Sztuka ta, jakkolwiek w węższym zakresie, była kultywowana i w ubiegłych epokach, dziś dopiero osiąga optimum swych możliwości rozwojowych, swoją pełnię znaczenia społecznego. Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie lata ostatnie w wyczerpanej klęskami wojennymi w Polsce, to lata nie tylko szybkiego dźwigania się z gruzów, ale i intensywnej przebudowy muzealnictwa. Rosnąca z każdym rokiem jego społeczna żywotność wyraża się nie tylko poważną liczbą odbudowanych i nowych placówek, lecz także unowocześnieniem metod działania, możliwym do planowej realizacji dzięki oparciu o centralny ośrodek dyspozycyjny — Naczelną Dyrekcją Muzeów i Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Ten to właśnie żywotny urząd, nie poprzestając na doskonaleniu metod ekspozycji „statycznej", podjął próbę zmotoryzowania wystaw muzealnych. Urządzenie ich w oparciu o kredyty Naczelnej Dyrekcji powierzono poszczególnym muzeom w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i Bytomiu. Wystawy sztuki oparto na dziełach malarstwa polskiego XIX i XX wieku. Tak więc Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Wielkopolskie i Śląskie (Bytom) wysłały zespoły obrazów reprezentujące całość tego okresu. Dwa zespoły dzieł „Matejki" wyruszyły z Muzeów Narodowych w Warszawie i Krakowie. Pierwszą wystawę o charakterze historycznym (poświęconą Kościuszce) urządziło krakowskie Muzeum Narodowe. Ponadto dwie wystawy tego typu przygotowano w Poznaniu; jedna poświęcona jest Wiośnie Ludów 1848 (Muzeum Wielkopolskie), druga dziejom przedhistorycznym Wielkopolski (Muzeum Prehistoryczne). Oto zwięzły przegląd tematów wystaw. Najważniejszy wszakże jest moment ich spotkania z widzem.

Jakże wyglądają te spotkania? Każda z wystaw podróżująca samochodem ciężarowym odwiedza w ciągu kilku miesięcy kilkadziesiąt miejscowości, zatrzymując się w każdej na okres 2—10 dni. Postoje odbywają się nie tylko w miastach wojewódzkich i powiatowych; znaczna część postojów wypada, na drobne miasteczka i osiedla wiejskie, gdzie większość zwiedzających stanowi ludność rolnicza. Publiczność wystawowa w schematycznym przekroju socjalnym przedstawia się więc następująco: 45 proc. — młodzież w wieku szkolnym (przynajmniej 35 proc. pochodzenia robotniczo-chłopskiego) 15 proc. — inteligencja, 40 proc. — robotnicy i chłopi. W ogólnym podziale nie mniej niż 75 proc. zwiedzających daje wieś i proletariat miejski. Są to więc w znacznej większości ludzie, którzy częstokroć nie mieli świadomej styczności ze zbiorami zabytków sztuki i historii, ludzie, dla których jednak postaci Kościuszki czy Matejki znaczą wiele i głęboko tkwią w wyobraźni, stanowiąc niejako elementy ludowego mitu o dziejach ojczystych. Wydaje mi się, że ta właśnie mitologiczność wiedzy ludowej, która zjawiska dalekie w czasie i przestrzeni upraszcza i heroizuje, jest jedną z podstaw niezwykle serdecznego przyjęcia, z jakim się wystawy spotykają. Na żadnym wernisażu wielkomiejskim nie widzi się tak wielkiego przejęcia i tak szczerego skupienia zwiedzających jak w sali straży ogniowej, czy amatorskiego teatru, w której urządzono wystawę objazdową. Na sali takiej odbywa się bowiem prawdziwa materializacja mitu: oto dzieła Matejki znane z reprodukcji i opowiadań można obejrzeć z bliska, prawdziwe pełne skłębionej treści, iskrzące się od niespokojnych uderzeń pendzla. Oto jest szabla i pistolet Kościuszki, listy i rozkazy pisane jego ręką, manifest Połanieckich, sukmana kosyniera. Podchodzą wzruszone i zaciekawione kobiety wiejskie skupieni i rzeczowi robotnicy śląscy, tłoczy się i przepycha dzieciarnia ze szkół powszechnych. Nie ma twarzy znudzonych i obojętnych. Wszyscy są ciekawi, wszyscy zadają pytania. Czy to na pewno te same kosy, co pod Racławicami? Czy te obrazy naprawdę malował własnoręcznie Matejko? Szkoda, żeście nie mogli przywieść Grunwaldu. A pistolet, czy to rzeczywiście ten, który miał Kościuszko, bo wygląda zupełnie jak nowy. A jak się z niego strzela? Ten ostatni temat gorąco interesował młodych chłopców. W związku z tym we Włoszczowie doszło nawet, na tle różnicy zdań, do bójki wśród młodych znawców starego oręża. W województwie kieleckim szczególne zaciekawienie budziła ilustrowana mapa graficzna powstania kościuszkowskiego: na trasie historycznej legendy ludzie odnajdywali z dumą rodzinne miejscowości — wsi i miasteczka ze swego powszedniego życia.

Wzruszenie, jakiego człowiek z ludu, doświadcza wobec zmaterializowanej legendy historycznej, określa jednak tylko częściowo jego reakcję przy zwiedzaniu wystawy. Obok owego wzruszenia i szacunku, który budzi autentyk muzealny, najsilniej występuje ciekawość, prosta i zachłanna potrzeba wiedzy o świecie i człowieku. Ludzie dużo pytają, chciwie słuchają objaśnień. Te pytania, te — długie nieraz — przyjazne rozmowy z nowymi odbiorcami kultury, skojarzyły mi się ze wspomnianymi na wstępie, relacjami o czytelnikowskich spotkaniach pisarzy ze społeczeństwem prowincjonalnym. Można bowiem stwierdzić głęboką i istotną zgodność tych literackich i muzealnych porozumień z nowym widzem i czytelnikiem. Zarówno literatom jak muzeologom dał on wyraźnie do zrozumienia, czego od nich oczekuje a czego nie chce.

Otóż ludzie w małych miasteczkach, ośrodkach robotniczych i na wsi poszukują przede wszystkim wiedzy o życiu ludzkim, które jest od nich oddalone bądź w czasie bądź w przestrzeni: Historia i geografia. Sztuka jako obraz życia ludzkiego. Przyrodoznawstwo ukazujące, jakie warunki kształtują to życie. W wiedzy o nim poszukują ludzie miar sprawiedliwych dla oceny własnego losu, dla budzącej się świadomości społeczno - historycznej. W rzetelnej prawdzie o ludzkim życiu pragną znaleźć ład pojęć i ład etyczny. Spowiedź inteligenta, amoralny psychologizm, estetyzowanie i nadmierne gadulstwo wartościującego komentarza— budzą milczącą zwykle, lecz wyraźną niechęć i nieufność.

×

Tezą podstawową, którą chciałbym tu uzasadnić, jest konieczność oparcia programu wystaw objazdowych przede wszystkim o te treści, które nowy widz chce, i które może przyjąć. Słuszności tego poglądu można dowieść jedynie przy równoczesnym założeniu, że zadaniem naszym nie jest obwiezienie muzealiów wśród licznych chłopów i robotników, lecz pozyskanie umysłu i wyobraźni tych ludzi dla treści kulturowych, z których owe muzealia wynikły. Jeżeli więc nowy widz interesuje się przede wszystkim historią i warunkami rozwoju życia ludzkiego — musimy to jego życzenie rozważyć nie tylko poważnie, lecz i krytycznie, szukając dlań istotnego uzasadnienia, miast przyjmować je na wiarę.

Uzasadnienie widzę przede wszystkim w fakcie pewnego intuicyjnego, ludowego humanizmu, który ujawnia się w omawianych życzeniach programowych nowego widza: interesują go przede wszystkim rzeczy ludzkie w ich całości, w konkretnych, pokrewnych naszemu życiu sprawach. Jak się dawniej ludzie rządzili, jak pracowali, jak prowadzili wojny, jaką mieli wiarę i obyczaje, jakie mieszkania, stroje i zabawy. Człowiek o budzącej się świadomości kulturalnej ciekaw jest człowieka — kształtu jego życia i pracy, powstającego w innych czasach i w innych krajach. Człowiek o budzącej się świadomości kulturalnej budując w sobie widzenie przeszłości, wznosi tę historyczną perspektywę w oparciu o własny porównawczy materiał doświadczenia. W tym zaś doświadczeniu nie ma jeszcze na ogół wyodrębnionej problematyki artystycznej — sztuka jest raczej jedną z praktycznych funkcji życia; wedle potrzeby uświetnia je, opowiada o nim, czasem bawi. Dlatego przede wszystkim jako praktyczna funkcja życia powinna wejść sztuka w program wystaw objazdowych w pierwszym okresie ich działania. Konkretnie w urządzaniu wystaw oznaczałoby to:

1) Możliwie szerokie uwzględnianie dzieł sztuki dawniejszej (sprzed XIX w.) w wystawach historycznych wyjaśniających funkcję różnego rodzaju obrazów czy rzeźb w życiu zbiorowym.

2) Kierowanie się powszechnie zrozumiałym wątkiem tematycznym w doborze dzieł sztuki do wystaw typu artystycznego.

Rozpatrzmy po krótce praktyczną realizację obu tych wskazań.

Dzieła sztuki dawnej (oryginalne oraz w modelach i reprodukcjach) stanowić mogą doskonały materiał ilustracyjny wmontowany w wystawę z zakresu historii kultury. Tak więc np. polski obraz kościelny z XV w. dzięki świetnemu realizmowi ówczesnych artystów, służyć może nie tylko jako świadectwo o charakterze kultu religijnego owej epoki, lecz również jako dokument ikonograficzny dotyczący obyczajów, ubioru, a nawet stosunków społecznych naszego średniowiecza. Trzeba tylko umieć wyeksponować go w tym sensie.

Sądzić należy, że w wielu wypadkach byłoby celowe poprzedzanie pokazów sztuki odpowiadającymi im chronologicznie wystawami historycznymi (z ilustracyjnym udziałem obiektów artystycznych). Tak więc wystawa obrazująca budowę społeczną i formy życia w XVIII w. znacznie może ułatwić zrozumienie dzieł malarstwa znamiennych dla ówczesnej dworskiej kultury.

Sztywne wszakże trzymanie się tej reguły nie wydaje mi się w pełni uzasadnione. Dzieło sztuki związane ze znanym wątkiem tematycznym zdolne jest poruszyć myśl i wyobraźnię człowieka bez względu na styl i czas powstania. Wystawy rozwijające określony temat w interpretacji artystów różnych krajów i epok mogłyby być bardzo kształcące plastycznie, stanowiąc zarazem dobre nawiązanie do zagadnień z dziedziny dziejów kultury.

W praktyce upowszechnienie sztuki dawniejszej będzie na razie raczej ograniczone. Pomijając nawet wymienione tu, a słuszne w wielu wypadkach względy programowe — na ograniczenie to wpłynąć musi: 1) szczupłość i niekompletność naszych zbiorów, 2) ryzyko związane z przewożeniem zabytków sędziwych, a więc szczególnie cennych i na ogół w gorszym stanie zachowania, 3) brak w kra-

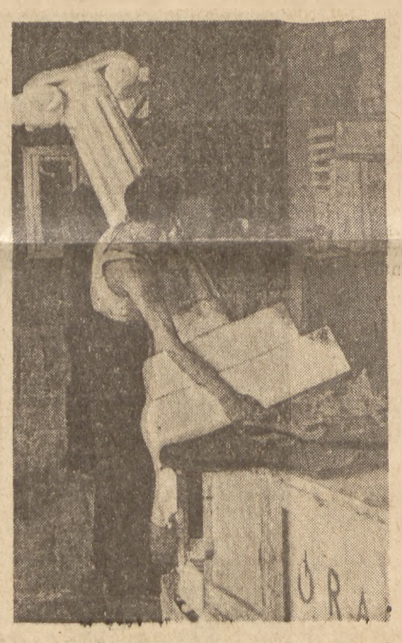

Wydobywamy wystawę ze skrzyń

ju dobrych materiałów reprodukcyjnych.

W tych okolicznościach do samodzielnej ekspozycji artystycznej nadaje się przede wszystkim sztuka polska XIX i XX wieku z przydatkiem bardziej umiarkowanych impresjonistów. Ona też niewątpliwie będzie stanowiła długo jeszcze podstawową pozycję wystaw malarstwa. Bynajmniej nie uważam tego za okoliczność szczególnie pomyślną. Cóż jednak robić, skoro: 1) obrazów z tego okresu mamy najwięcej, 2) właśnie temu malarstwu odpowiada najpowszechniejszy jeszcze, zwłaszcza w miastach, nałóg estetyczny zawarty w formach i skłonnościach wyobrażeniowych epoki ubiegłej, 3) niewątpliwie ten właśnie okres jest najbardziej samodzielny i bogaty w rwącej się wciąż historii malarstwa polskiego, 4) obrazy ówczesne posiadają dużo zalet jako materiał ilustracyjny historyczno-obyczajowy.

Pozytywnym osiągnięciem wystaw tego malarstwa będzie — przez dobór płócien istotnej wartości — stworzenie pewnej przeciwwagi dla kultu ponaturalistycznej tandety obrazkowej, o którego smutnej powszechności wiele by można napisać. Skoro już w pewnym sensie skazani jesteśmy na czasową supremację naturalistów nauczmy ludzi cenić to, co stworzyli oni prawdziwie wartościowego i odróżniać wartości istotne od jałowej produkcji sentymentalnych widoczków. Nie błahą sprawą jest tu też wspomniana wyżej zasada doboru materiału, która — jak sądzę — wspierać się winna nie tylko na prawidłowości układu naukowo-historycznego. Muzeolog nie rezygnując ze swych ambicji zawodowych, musi w tym wypadku być też inscenizatorem określonych motywów treściowo-narracyjnych, które przyciągając uwagę zwiedzających ukazywałyby dzieło sztuki w jego niepodzielnym znaczeniu: jako zrozumiały obraz ludzkiego życia i jako rzecz piękną.

Zagadnienie objazdowych wystaw sztuki pozwolę sobie omówić szerzej przy następnej sposobności. Tu pragnę tylko podkreślić, że wspomniana czasowa supremacja elementów naturalizmu, cechujących znaczną część naszego malarstwa XIX i XX wieku — znajdować winna każdego roku coraz większą przeciwwagę w wystawach dzieł epok dawniejszych.

Pomijam też rozmyślnie — trudną, lecz nie beznadziejną sprawę eksponowania sztuki współczesnej, jako nienależącej dziś jeszcze do stałego zakresu zadań muzealnych.

Po tej niezbędnej dygresji w problematykę artystyczną powróćmy na podwórko odmłodzonej i uspołecznionej muzy Klio. Aby w pełni ocenić stojące przed nią zadania, nie wystarczy stwierdzić, że lud ją czci i kocha i pragnie oglądając jej dary. Nie wystarczą nawet rozważania nad porządkiem, w jakim te dary należy upowszechniać. Pozostaje jeszcze sprawa metody i techniki działania, do której wstępne tegoroczne doświadczenia są nader cennym przyczynkiem.

Przede wszystkim więc metoda w realizacji programu, którego główne zasady omówiłem powyżej. Zadaniem wystaw z zakresu historii i historii kultury, jest powiązanie i ustawienie w pewnej perspektywie rozwojowej dość bezładnych i mitologicznie zniekształconych fragmentów wiedzy, tkwiących w świadomości widza niewykształconego. Wymaga to przestrzegania dwóch zasad w układaniu programu.

Pierwsza to możliwie szerokie uwzględnienie tematów działających na wyobraźnię dzięki swej sławie ustalonej bądź w pamięci narodu, bądź dzięki aktualnemu rozgłosowi.

Druga zasada pozornie sprzeczna z pierwszą to konieczność utworzenia zespołu wystaw stanowiących niejako elementarne rozdziały historii i kultury. Nazwę ją w skrócie zasadą elementarza. Elementarz ten jednak nie może być po szkolarsku uproszczony do chronologicznej prezentacji zjawisk w kolejnych epokach. Aby dać żywy i plastyczny obraz przeszłości, należy system elementarza rozwinąć w trzech wzajemnie przecinających i uzupełniających się płaszczyznach: a) wystawy ukazujące zwięźle kulturę poszczególnych okresów w porządku czasowym, b) wystawy poświęcone większym przekrojom zagadnieniowym, c) wystawy monograficzne. Oto konkretny przykład: a) wystawa obrazująca dzieje i kulturę Polski piastowskiej, wierająca również temat stosunków naszych z Niemcami. b) wystawa poświęcona historycznemu rozwojowi stosunków polsko-niemieckich, c) wystawa monograficzna bitwy grunwaldzkiej. Oczywiście praktyka nieraz przemawiać będzie za łączeniem się i wzajemnym przenikaniem tych trzech typów ekspozycji.

Należyte funkcjonowanie omawianych zespołów wystawowych wymaga wystrzegania się przypadkowości w planie ich rozprowadzenia, tak aby następujące po sobie tematy wiązały się w jakiś sensowny układ. Nie będzie to zbyt łatwe w pierwszych latach, dopóki „produkcja" wystaw nie nasyci podstawowych potrzeb programu.

Planowość w przygotowaniu i rozprowadzeniu wystaw na poszczególne województwa wymaga centralizacji programowej, którą zapewnić musi Naczelna Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków. Natomiast w pierwszym bardziej nasilonym okresie produkcji, widziałbym istotne korzyści w zdecentralizowaniu prac wykonawczych. Powierzenie przygotowania i obwożenia wystaw w tym okresie kilku większym muzeom — uchroni całą akcję od niebezpieczeństw seryjnej schematyczności i pozwoli na zebranie bardziej różnorodnych doświadczeń realizatorskich. W dzisiejszej dobie tak pochopnie skłonnej do przerostu centralizowania trzeba też i tę bardzo realną prawdę mieć na względzie.

Wreszcie — rzecz najważniejsza — sposób przygotowania i pokazania materiału zabytkowego. Rzecz najważniejsza, gdyż wystawy objazdowe stanowią tę wysuniętą pozycję społeczną muzealnictwa, na której doskonalić się powinien styl ekspozycyjny odpowiadający istotnym potrzebom nowego widza. Atrakcyjność i czytelność zespolona z sumiennym przygotowaniem naukowym — oto podstawowe cechy tego stylu, który łączyć w sobie winien urok ludowego widowiska z precyzją nowoczesnej wiedzy. Aby wskazać sens owej widowiskowości odwołam się do znanych doświadczeń współdziałania muzealnictwa ze współczesną sztuką graficzno-dekoracyjną, której zwięzła i sugestywna forma najtrafniej określa treść zjawisk i syntez myślowych objętych naukowym „scenariuszem" wystawy. Udział elementu organizacji plastycznej w wystawach objazdowych jest podwójnie ważny: 1) już tegoroczne doświadczenia wskazują jak bardzo podnosi on czytelność materiału zabytkowego w oczach chłopskiego i robotniczego widza, 2) określona z góry kompozycja plastyczna chroni wystawę od przypadkowych improwizacji wnętrzarsko-dekoratorskich przy rozstawianiu w coraz to nowych miejscowościach. Wreszcie duże, choć uboczne osiągnięcie: patrząc na plansze i modele, widz zżywa się ze sztuką współczesną wyrosłą bezpośrednio z tak wyklinanego hermetycznego formalizmu — a tu właśnie całkowicie ludzką i zrozumiałą.

A oto trzy dalsze potrzeby, których ważność wykazała w pełni praktyka tegoroczna:

1) stała aktywna i dobrze przygotowana służba oświatowa przy wystawach, zwiedzanie zwłaszcza zbiorowe bez fachowego przewodnika odbiera całej działalności przynajmniej połowę jej znaczenia społeczno-kulturalnego. Wyraźnie w tej sprawie wypowiedzieli się zresztą zwiedzający, sami zwracając się o wyjaśnienia i oprowadzanie,

2) konieczność wzmożenia penetracji terenowej do drobnych osiedli i gmin wiejskich — trasy mniej imponujące rozległością, a za to skrupulatniej zgęszczone w określonych regionach.

3) uruchomienie przy wystawach pomocniczych środków działania, jak odczyty z przezroczami i filmy o typie naukowo-oświatowym. Te ostatnie zwłaszcza, sprzęgnięte z tematyką wystaw, niewątpliwie bardzo przyczynią się do podniesienia ich atrakcyjności.

Na tych uwagach kończę swoje rozważania w obawie, by artykuł nie przedzierzgnął się w muzeologiczną rozprawę. Myślę jednak, że spory ładunek podanych tu szczegółów programowych i technicznych nie powinien spłoszyć dzisiejszego czytelnika. Bowiem technika wystaw objazdowych, to sprawa do głębi humanistyczna: technika budzenia świadomego człowieczeństwa. Sądzę, że obok książki i teatru muzealnictwo ma w upowszechnieniu kultury szczególnie ważną rolę, zwłaszcza, że już dziś docierać może do najdalszych zakątków kraju, gdzie długo jeszcze brak będzie nie tylko teatru, ale i biblioteki. Jest to jeszcze jeden niemały wzgląd, dla którego trzeba sobie życzyć, by rozpoczęta ofensywa społeczna muzeów rozrosła się szybko i skutecznie, przenikając wszędzie tam gdzie czeka na rozbudzenie złakniony wiedzy i piękna ludzki umysł.

Wystawa matejkowska w Mysłowicach

Życzymy więc muzie Klio i jej towarzyszkom z muzealnego rydwanu pomyślnej drogi do szkół, fabryk i świetlic wiejskich, zaś Naczelnej Dyrekcji Muzeów męstwa i pomyślności w dalszym pomnażaniu doczesnych środków na tę piękną podróż humanistyczno - ludową.

Janusz Bogucki

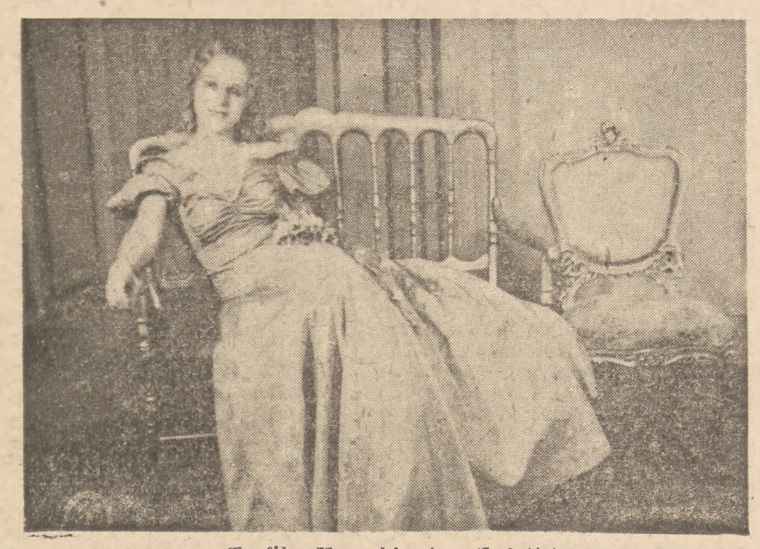

Teofila Koronkiewicz (Lolotte)

ARTUR MARYA SWINARSKI

SĄD NAD RODZINĄ LENOIR

Miejskie Teatry Dramatyczne w Warszawie. *Armand Salacrou* „Archipelag Lenoir", komedia w dwóch częściach. Przekład *Marii Serkowskiej*. Inscenizacja i reżyseria: *Jan Kochanowicz*. Dekoracje: *Tadeusz Błażejowski*.

W numerze 12 „Sceny i Widowni" czytamy takie słowa, napisane przez tłumaczkę „Archipelagu Lenoir":

„Tragi-farsa Salacrou jest przede wszystkim bezlitosną satyrą na ginący świat bogatej burżuazji".

I dalej:

„Pamiętajmy, że Salacrou pisał swą sztukę przede wszystkim dla Francji i Paryża, w którym zamożne mieszczaństwo nadaje ton publiczności teatralnej. Podobnie, jak w wieku XVII dzieła Moliera, a w XVIII-tym Woltera oskarżały uprzywilejowanych wobec uprzywilejowanych, tak w dniu dzisiejszym sztuki Salacrou wobec klaszczącej widowni paryskiej demaskują nędzę moralną warstwy posiadającej i ukazują absurdalność jej istnienia".

Jak wygląda ta satyra, jak wygląda to oskarżenie w „Archipelagu Lenoir"? A będziemy mówili o Salacrou wyłącznie jako autorze tej sztuki, jak gdybyśmy nie znali jego światopoglądu z innych utworów i wypowiedzi.

Salacrou przedstawia nam rodzinę Lenoir, bogatych fabrykantów likieru: bandę obłudników i łobuzów, dewotek i ladacznic bez zasad. Ale wszyscy członkowie rodziny są dowcipni, piekielnie dowcipni, dowcipni jak... Salacrou. Trudno, zawsze czujemy sympatię do ludzi dowcipnych. I śmiejąc się z konceptów i sentencyj rodziny Lenoir, zapominamy o oskarżeniu. To pierwszy słaby punkt tej satyry.

Druga jej słaba strona, to ów lud który poznajemy w „Archipelagu" naocznie lub z relacyj. A więc kamerdyner, nadcwaniak i kombinator o bardzo podejrzanym poczuciu honoru. A więc policjant, który upija się, miast spełnić swój obowiązek służbowy. A więc ojciec skrzywdzonej dziewczyny, mściwy stary kłusownik z pociągiem do sadyzmu. A więc sama skrzywdzona dziewczyna, aranżująca wraz z kamerdynerem sprytny szantaż. Jestem nawet gotów posądzić tę parkę, że wysłała mściwego kłusownika cichcem na tamten świat, bo jej zawadzał; pewne fragmenty tekstu, opuszczone w przedstawieniu (kamerdyner chce czym prędzej wyjechać za granicę, a także sprzątnąć zwłoki kłusownika), umocniły mnie w tym podejrzeniu. Słowem: ci ludzie wcale nie są lepsi od „ginącego świata bogatej burżuazji", nad którym się Salacrou rzekomo pastwi tak bezlitośnie.

Nie pastwi się nad nim. Ma dla niego raczej pobłażanie, może nawet sympatię. Archipelag Lenoir nie jest wulkaniczny, żadna katastrofa mu nie grozi. Autor skazuje plugawą rodzinkę raptem na grzywnę w wysokości miliona franków. I nawet ta niewielka stosunkowo grzywna jest jeszcze względna — bo za te pieniądze rodzina Lenoir pozyskuje cwanego przedstawiciela swej firmy...

Ale nawet gdybyśmy nie domagali się morału od autora... Przecież i Goethe swój poemat satyryczny, „Lisa Mikitę", nie kończy morałem, nie karze złych, głupich i obłudnych zwierząt, tylko je pokazuje w ich złości, głupocie i obłudzie, a morał: *„moriturі"* możemy sobie dopowiedzieć sami. Salacrou pokazuje nam osoby „Archipelagu" w całej ich obrzydliwej nagości, a mimo to gotowiśmy zapomnieć o wyroku: „moriturі". Bo to, co jest najprzedniejszą zaletą utworu, jest także jego największą wadą: Salacrou stworzył w „Archipelagu Lenoir" sytuację tak niezwykłą i nieprawdopodobną, że sztuka odskakuje po prostu od ziemi, jej figury przestają być realne i znajdujemy się w atmosferze jakiejś makabrycznej bajki. A nie ma „Archipelag Lenoir" silnej wymowy symbolu jak „Lis Mikita". Nie jest satyrą, nie jest oskarżeniem.

Jest natomiast zręcznie napisaną sztuką, bardzo oryginalną w strukturze. Pierwsza część statyczna, długie dialogi prawie bez akcji, z bombą na końcu; część druga farsowa, pełna ruchu i niespodzianek, osłabiona trochę kawałkami tańszego gatunku; rozwiązanie sprawy w stylu molierowskim, długa relacja włożona w usta jednej osoby.

„Archipelag Lenoir" w M. T. D. wyreżyserowany i zagrany bardzo dobrze, mimo że kilka ról obsadzono nietrafnie. I tak na przykład wyobrażamy sobie, że hrabina Hortensja jest starą, zasuszoną dewotką. Tymczasem gra ją *Elżbieta Wieczorkowska*, aktorka pełna ciepła i wdzięku, którego jej się trudno wyprzeć, nawet gdyby się na to zdecydowała. W ten sposób rodzina Lenoir zyskała jeden punkt, co nie leżało w intencji autora. Ale Wieczorkowska jest znakomitą artystką (pamiętamy ją z „Ożenku" Gogola), więc szczęśliwie wybrnęła nawet z takiej roli. Największy sukces aktorski przedstawienia zdobyła *Teofila Koronkiewicz*. Medytowałem przez cały wieczór, kogo mi przypominają te niespodzianki głosowe, te wyrafinowane półtony i półśmiechy, to zmysłowe gruchanie, ta panterza płynność ruchów; już wiem: ni mniej ni więcej, tylko Irenę Solską w sztukach tego typu co „Lady Frederic", „Romans", „Wachlarz pani Windermare". Dziadek Lenoir *Jana Kochanowicza* mógł budzić drobne zastrzeżenia; ale po przeczytaniu egzemplarza sztuki doszedłem do przekonania, że te zastrzeżenia należy skierować raczej pod adresem autora. W drugim akcie jest parę momentów słabszych, których aktor naprawić nie potrafi; więc proszę, by widzowie nie obciążali nimi Kochanowicza. Skomplikowaną rolę narwanej wnuczki zagrała *Halina Jasnorzewska* bez zarzutu, dozując umiejętnie wdzięk, histerię, pustkę w głowie, pustkę w sercu, cynizm, swoisty humorek, — ściśle według recepty autora.

I reszta rodziny Lenoir ściśle według recepty autora: *Żmichorowska* należycie tępa; *Rydzewski* należycie obleśny; *Petecki* należycie zimny; *Morawski* należycie mądrala; *Michalewicz* należycie głuptasek; *Tkaczyk* należycie niedojrzały, aczkolwiek zewnętrznie zbyt dojrzały jak na tę rolę. I należycie sprytny i dystyngowany *Lasocki* (kamerdyner).

Zdawałoby się więc, że galeria typów bardzo nieprzyjemna, — lecz cóż, kiedy autor prawie że się nie rozmiłował w swych postaciach i tak hojnie uskrzydlił je swym błyskotliwym dowcipem, że sądu nad rodziną Lenoir nie można było traktować zbyt poważnie.

A na dobitek *Tadeusz Błażejowski* wyposażył tę rodzinę w dobry gust i kazał jej chodzić po pięknym, wcale nie parweniuszowskim salonie.

Artur Marya Swinarski

RODZINA LENOIRÓW

Siedzą: Hrabina Hortensja Cazette, Paweł Albert Lenoir, Maria-Teresa Robec-Lenoir.

Stoją: Wilhelm Robec - Lenoir, Wicehrabia Karol August Cazette, Maria Blanka Robec - Lenoir, Wiktor Lenoir, Adolf Robec - Lenoir

ANNA Z. LINKE

Grafika belgijska i malarstwo francuskie w Muzeum Narodowym

ZASŁUGI MUZEUM

MUZEUM Narodowe spełnia w życiu plastycznym Warszawy najdonioślejszą i najbardziej wszechstronną rolę, jaka kiedykolwiek przypadła w udziale instytucji o celach wybitnie „retrospektywnych". Nie tylko kompletuje ono bowiem mimo olbrzymich trudności wszelkie zbiory i — po żmudnej i ciężkiej pracy — oddaje je społeczeństwu, lecz, (co nie leży bynajmniej w sferze jego obowiązków), zapewnia Warszawie mnóstwo doskonale zorganizowanych wystaw bieżących. W ostatnim tygodniu obdarowało Muzeum Warszawę aż dwiema ciekawymi wystawami, najzupełniej — zaznaczamy to z góry — nieporównywalnymi.

Pierwsza z nich „Belgijska grafika współczesna" obejmuje twórczość Belgów ostatniego półwiecza. Trzecia to już, w ciągu roku, wielka wystawa grafiki zagranicznej. Angielska i radziecka były równie troskliwie urządzone i również dawały pojęcie o całokształcie zagadnienia. Byłoby znakomicie, gdyby Muzeum zechciało urządzić nam kiedy taką wystawę grafiki francuskiej. Widz nasz zwłaszcza „powojenny", nie może powziąć żadnego zdania o sztuce francuskiej z małych, dorywczych i fragmentarycznych wystaw. A przecież wszystkich żywo interesuje plastyka kraju, wystawionego od wieków na ciśnienie nie setek już, lecz tysięcy atmosfer malarskich.

OBRONA LINII W PLASTYCE

GRAFIKA jest obecnie jedyną bodaj dziedziną sztuk plastycznych, w której zdecydowanie dorównujemy każdemu z krajów Europy. Jest to dziedzina duża i dopuszczająca wszelką swobodę artystycznego wypowiadania się. Dlatego wydaje się nieuzasadnionym pogląd krytyków plastycznych na grafikę — jako sztukę użytkową.

M. Chagall — Kompozycja (gwasz)

Brak dostatecznie ścisłego systemu pojęć w naszym języku plastycznym, a nawet często spotykana dowolność słownictwa — jest nie do pomyślenia w żadnej innej dziedzinie mowy; dotyczy to nie tylko krytyki „czystej" ale i sprawozdawczej. W sumiennej np. na ogół recenzji z ważnej wystawy malarstwa polskiego w Krakowie (Nr 8, 9 „Przeglądu Artystycznego") autor zubożył elementy czysto malarskie, wyłączając z nich linię. Rzecz to nie nowa; obecnymi wyrazicielami tego poglądu są postimpresjoniści, hołdujący tzw. budowaniu kolorem. Odsądzanie jednak od malarskości elementu linearnego — to odsądzanie od malarskości dzieł sztuki całego świata z pozostawieniem garstki na podstawie b. wątpliwego kryterium — co świadczy najwyżej o upartym konserwatyzmie poglądów, zwłaszcza przy obecnej wielotorowości malarstwa. Piorunująca szybkość zmian, jakie zachodzą nie tyle w sposobie reagowania społeczeństwa na sztukę, ile w plastyce samej, powinna ostrzec srogich krytyków przed przybieraniem w stosunku do innych poglądów artystycznych urągliwego tonu — i skierować raczej ich energię ku wypracowywaniu systemu pojęć i określeń plastycznych, który pozostałby jako fundusz trwały, niezależny od zmieniających się mód.

WYSTAWA GRAFIKI BELGIJSKIEJ

KATALOG i słowo wstępne — jak zwykle w wystawach zagranicznych, organizowanych przez Muzeum — bez zarzutu.

Eksponaty, w liczbie 158, reprezentują 31 autorów; 12 z nich zalicza się do pokolenia lat osiemdziesiątych. Z technik najliczniejsze są: drzeworyt, suchoryt (sucha igła) oraz akwaforta. Jest również po kilka litografii i miedziorytów, a także jedna wprawdzie tylko, lecz fenomenalna technicznie, akwatinta barwna **Apola**.

Pomimo krańcowo różnych temperamentów artystycznych wystawców, narzucają się naszemu widzowi pewne cechy wspólne, będące widocznie narodowymi właściwościami tej sztuki. Należy do nich przede wszystkim skłonność do dużych formatów — niezależnie od typu twórczości. Pozbawione rozmachu np. i niesamowicie wypracowane drzeworyty Delheza są równie duże, jak akwaforty de Bruyckera, pełne ruchu, wyrazu i humoru. De Bruycker (ur. 1870 r.) należy do największych rysowników, fizjonomistów i obserwatorów nie tylko wystawy belgijskiej, lecz — niewątpliwie — naszej epoki.

Cechą ogólną grafiki belgijskiej jest również bardzo wysoki poziom rysunkowy oraz rozsmakowanie w rzemiośle, dzięki któremu każdy z wystawców osiąga w uprawianej technice rezultaty pełnowartościowe i — by tak rzec — ostateczne. Trudno wręcz uwierzyć, że malarskie, pełne aksamitnych czerni portrety okrętów Schoenberga wykonane zostały tą samą techniką, co uroczo manieryczne, bezcielesne akwafortki J. Stevo, o nerwowym, cieniutkim, zlekka japonizującym konturku.

Trzeci rys wspólny — silny związek współczesnego pejzażu z tradycjami flamandzkiej i holenderskiej plastyki wieków XVII i XVIII, daje się wyczuć tym łatwiej, że spośród 31 autorów aż 19 uwzględnia, a nawet wyróżnia w swej twórczości motywy ojczystego pejzażu. Nb. w wybitnie realistycznej swej sztuce zdobył się Langskaens na prosty, a bardzo śmiały efekt kompozycyjny („Chmurne niebo"), rysując budynek wiatraka na wprost, śmigi — przecinające niebo znakiem krzyża — i niezmiernie ryzykowny skrót schodów, z czego mało kto wybrnąłby tak trafnie.

Możliwości ilustracyjne grafiki wykorzystane są — na tej wystawie — raczej przez młodsze pokolenie. U starszych mistrzów ilustracja idzie raczej w kierunku statecznie narratorskim, z ciążeniem co najwyżej w stronę groteski, nie przekraczającej granic realizmu.

Na silniejsze wstrząsy uczuciowe nastawiona jest bodaj tylko twórczość Fr. Masereela, który pozostał prawie niezmieniony od czasu swych pełnych sentymentu cyklów książkowych („Podróże do słońca"). Szukając analogii jego postawy duchowej w sztuce innych narodów, przypisalibyśmy mu pewne rysy wspólne z Chagallem. Jednak oblicze społeczne sztuki Masereela jest nieskończenie wyraźniejsze i, jak przed laty, zdumiewa swą świeżością. Formalnie odszedł Masereel w swym drzeworycie nieco od miłej patyczkowatej syntezy dawnych ekspresjonistycznych cyklów. Pokazane prace pochodzą z lat 1947 i 48 i są bliższe realizmu od dawnych.

J. Ensor, mistrz akwaforty i popularny ilustrator literatury angielskiej, reprezentowany jest przez 7 akwafort, dających pojęcie o swobodzie i lekkości jego rysunku. Kapryśny, nerwowy sposób operowania kreską i plamą daje dużo wibracji i niepokoju, bardzo przydatnych np. w ilustracjach do Poe'go („Zemsta"). Ensor ma wielu naśladowców wśród ilustratorów angielskich; mutatis mutandis (podkreślam to) reprezentowali jego „rodzaj" na naszym terenie m. i. T. Manteuffel, Kanarek, Topolski, dziś Uniechowski.

de Bruycker — W teatrze na paradzie (akwaforta)

Śmiałą, nieco posiekaną mozaikę czerni i bieli dał J. Minne w tryptyku „Ku chwale Antwerpii". Drzeworyty Van Stratena z lat 20-tych wydają się dziś nierównie starsze i chłodniejsze — mimo swych konwulsyjnych form — od wcześniejszych o kilkanaście lat, a tak świeżych prac de Bruyckera, do którego z przyjemnością się powraca.

WYSTAWA MALARSTWA FRANCUSKIEGO I CERAMIKI PICASSA

TAK się dziś składa, że wciąż muszę wysławiać Muzeum. Tym razem — dlatego, że niewielka (jedną salę zajmująca) wystawa skomponowana jest w sposób nowy i niezmiernie efektowny. Autorem układu wystawy jest prof. Walicki, toteż układ ma przejrzystość i piękno dobrego wykładu historii sztuki. (Dla pewności zaznaczam, że gry słów układ — wykład używam świadomie).

Obrazy, ustawione na stalugach i tworzące — w miarę możności — zharmonizowane kolorystycznie szlaki przez środek sali, świadczą o paru cechach zasadniczych współczesnej sztuki francuskiej, choć wstęp do katalogu, pióra p. Maisy, zastrzega się gorąco przeciw uogólnieniom.

W masie swej świadczą one przede wszystkim o niemożności pozbycia się „tematu", czyli skojarzeń, powiedzmy, „literackich" i o niemożności wyszufladkowania aparatu skojarzeń pojęciowych, który wchłaniamy od urodzenia.

Niesposób zakreślić granice, od których począwszy temat zaczyna lub kończy być pretekstem malarskim, bo nawet tak uproszczony, „zabstrakcjonizowany", jak walka byków, lub para nożyc na półmisku Picassa lub jak „Kruki" Welscha — jeszcze jest określeniem pojęcia, bynajmniej nie wydzielonego z łańcucha przyczynowych skojarzeń. Brak „literatury" jest pozorny. Stwierdził to kiedyś Picasso w następujących słowach: (cytuję z art. J. Modigliani, „Odrodzenie" Nr 32) — „Sztuki abstrakcyjnej nie ma. Zawsze trzeba od czegoś zacząć. Później można już odjąć pozory rzeczywistości, nie ma już niebezpieczeństwa, bo idea przedmiotu zostawiła swój ślad „niezatarty". Otóż owo „odejmowanie pozorów rzeczywistości", przy zachowywaniu pewnych jej cech doprowadza upartych abstrakcjonistów do dwoistości tak rażących, jak ów nie do zniesienia naturalistyczny, „cielisty" kolorek rozbielonej siony i owa błękitna sukienka, czyniąca z eksperymentalnego portretu (jedyny obraz Picassa na wystawie) zwykłego ludzkiego potworka. Nic tu nie zmieni rzucone przez p. Moisy hasło „samotności i wielkości artysty", którym tak chętnie szermują — odskoczywszy od widza — artyści ostatniego półwiecza. Aby być rozumianym nie trzeba bynajmniej zniżać się do naturalistycznego kiczu w rodzaju „W uniesieniu" de Waroquiera, nie wychodzącego poza mierny plakat. Te krańcowości widza nie wykształcą.

Pignon powrócił do miękkiego, konturowego rysunku (chciałoby się rzec — secesyjnego); obraz jego zbiega się przypadkiem w ruchu i kompozycji z jedną z postaci Klimta*) tak dalece, że wygląda jak szkic do niej. Autorzy dopatrują się secesyjności i w martwej naturze Matissea, bardzo zresztą pięknej i subtelnej. Niezrównane tkaniny Lurcata reprezentuje jedna tylko — i nie najlepsza, jak się rzekło we wstępie. A przecież — po bytności w Warszawie — poświęcił on Polsce piękną w kolorze alegorię z tej samej serii, co „Koguty i słońce" (Symbol Ruchu Oporu i wyzwolenia Francji). Szkoda, że jej nie przysłał.

Przyjemne i dyskretne w kolorze i układzie są akty Souverbie. Prace Palluta, Singiera, Légera zbliżają się niepokojąco do sztuki użytkowej, zwanej także sztuką wnętrz. Są to obrazy określone przez p. Moisy jako wybuchy liryzmu, nasz widz odczuwa je raczej jako ściśle wyrozumowane. Próżno by dyskutować, czy i w jakim stopniu te pojęcia się znoszą. Bardzo mocne i zdecydowane w kolorze, swobodne i logiczne w kompozycji są „Figwy" Marchanda.

Rouault, jeden z nestorów wystawy, dał dwa obrazy: „Weterana" i kompozycję figuralną. Obydwa dzieła mają mimo małego formatu cechy monumentalności i pozwalają na pierwszy rzut oka rozpoznać autora.

Dufy dał jedną akwarelę z ogromną dedykacją, niestety, nie dla Warszawy. Pełen poezji mały gwasz Chagalla ma na tej wystawie charakter wybitnie wypoczynkowy. Jakże staroświecka i niekrzykliwa wydaje się jego dwugłowa krowa!

Ceramika Picassa, piękna w kolorze, oparta jest na dokładnej znajomości sztuki ludów pierwotnych.

Anna Z. Linke

*) Klimt — wiedeński malarz secesyjny.

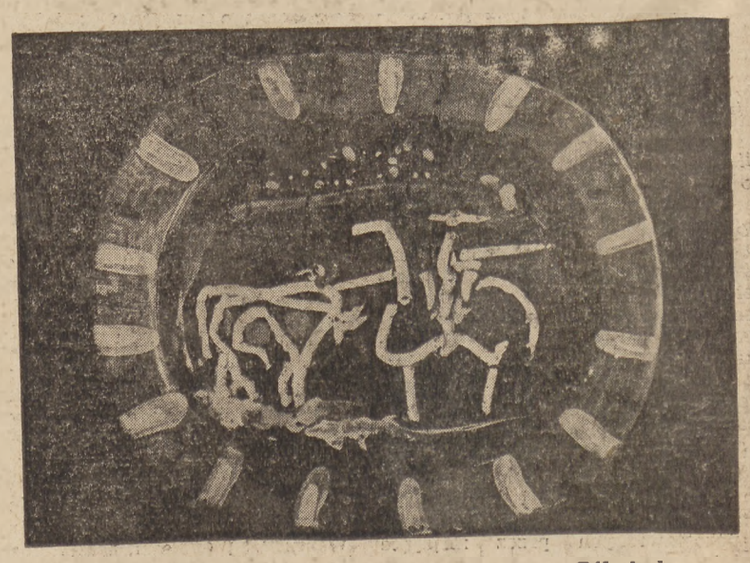

Pablo Picasso — Półmisek

JAN HUSZCZA

Dwie książki wierszy satyrycznych

GDYBY ktoś oświadczył mi, iż dotąd nigdy nie czytał wierszy satyrycznych, a potem zapytał, od czego ma zacząć swoją ewentualną znajomość z tego rodzaju lekturą — to bez wahania odpowiedziałbym:

— Weźcie do rąk książeczkę Jana Brzechwy „Palcem w bucie"*).

Lektura tego tomiku może zadowolić każdego, poczynając właśnie od najmniej nawet z satyrą obytych czytelników. Zręczne zwrotki Brzechwy łatwo wpadają w ucho, autor posługuje się bardzo nieskomplikowanymi a przecież dość celnymi środkami wyrazu.

Brzechwa chętnie używa refrenów, co utworom nadaje często charakter piosenek, rozkłada swoje pointy równomiernie — przypomina to, oczywiście z tego wyłącznie powodu, wiersze tzw. awangardy — zaopatruje w nie każdą właściwie zwrotkę.

Te równomiernie rozłożone pointy nie zawsze jednak osiągają właściwy rezultat, gdyż nie wszystkie przecież momenty wiersza są jednakowo doniosłe pod względem treściowym. A więc w tym, co przed chwilą wymieniłem — w zręczności, w refrenowości, w równomiernym rozkładaniu dowcipu — czai się także i pewne niebezpieczeństwo inflacji: Brzechwa, nie pasjonujący się możliwościami trudniejszych rozwiązań, mógłby prawdopodobnie „sypać wierszami jak z rękawa". Od tego, w jakim stopniu znakomity autor książek dla dzieci będzie umiał stawiać przed sobą coraz ambitniejsze zadania — od tego zależy jego przyszłość jako satyryka.

Z wiersza „Święta", aby pokazać jego lapidarną trafność, wystarczy przytoczyć choćby pierwszą zwrotkę:

„Gdy czytam prasę, wprost mnie zachwyca
Ruchliwość naszych wiesek i miast:
Codziennie święto albo rocznica,
Obchód, otwarcie, pochód lub zjazd"...

W równym stopniu trafny, krótki wiersz „Urzędowanie" zaczyna się następująco:

„Referent poszedł rano do miasta
Do kierownika, lecz go nie zastał,
Bowiem kierownik poszedł do miasta
Do inspektora, lecz go nie zastał,
Bowiem inspektor poszedł do miasta
Do Naczelnika, lecz go nie zastał"...

Czytając podobne utwory, marzy człowiek: ach, żebyż im nadano moc urzędową, żebyż je rozesłano w charakterze okólników do różnych naszych instancyj i instytucyj.

Podobnych, wielce pożytecznych wierszy w tomiku Brzechwy znajdziemy kilkanaście. Ich tematyka, rzecz jasna, nie wyczerpuje się w atakach na biurokrację. Tomik jest więc dowcipnym przeglądem różnych powojennych bolączek, wydarzeń i zjawisk, poczynając od dość prywatnych (to — zarzut), a kończąc na najbardziej ogólnych i zasadniczych.

Okładka tomiku wyjątkowo brzydka, stylem rysunku przypomina mniej udałe reklamy pasty do obuwia.

*

LEONA Pasternaka od dawna znamy jako bezkompromisowego satyryka. Potwierdzają to jego wiersze satyryczne, zebrane w dwóch książkach: „Rzezi niewiniątek" i — najnowszej — „Zasady i kwasy"**).

Dominuje na ogół w jego utworach nie łagodna perswazja, nie dobrotliwa drwina, ale ostre szyderstwo. Można o jego twórczości powiedzieć, wcale nie nadużywając tej wytartej monety obiegowej, że „chłoszcze biczem satyry".

Nie zawsze Pasternak zwracał baczną uwagę na stronę formalną swoich utworów. Dotyczy to niektórych wierszy, a zwłaszcza fraszek ze zbioru wcześniejszego, zawierającego twórczość z lat 1936 — 46 — już w swoim czasie przez innych szerzej omawianego — to znaczy ze zbioru „Rzeź niewiniątek". Że jednak nie miało to swego źródła w niedowładach, w braku odpowiednich dyspozycji twórczych— świadectwem są właśnie „Zasady i kwasy".

Takich np. dziesięć jednakowo zbudowanych wierszy, ujętych w całość pt. „Byli ludzie", doskonale potwierdza możliwości Pasternaka w zakresie komponowania zwartych, zwięzłych, jednoznacznych w swojej wymowie, więc tym bardziej przekonywających — satyr.

Przy okazji, warto by trochę z Pasternakiem pokłócić się merytorycznie. Dotyczy to paru jego wierszy z doskonałego formalnie cyklu „Zezem po Europie". Są to wiersze z podróży, odbytej w roku 1946. Do Szwajcarów ma poeta pretensje, iż „...Elektryfikacja! Asenizacja! Wentylacja"...

Być może, autor miał na myśli cywilizację techniczną nie ożywioną żadną humanistyczną ideą, cywilizację techniczną, jako cel sam w sobie. W takim razie pretensje te są słuszne, ale źle wyrażone. Czytając ten cykl odnosi się wrażenie, że Pasternaka w zasadzie denerwuje to wszystko, co ułatwia i usprawnia życie. Wiersz „Rozmowa z dozorcą", to wrażenie jeszcze bardziej potęguje swoją w gruncie rzeczy zaściankową bufonadą:

„Nie trza dowodzić. Sam wiem o tem,
żem parafianin. Nie globtrotter...
Myślałem: Poznam świat i ludzi.
Poznałem. Dość mam. Już mnie nudzi.
Marzyłem: Miasta, porty, dworce...
Kocham teraz mego dozorcę..."

Powiedziałem, iż dominuje w tomie ostre, gryzące szyderstwo. Tak — ale od czasu do czasu satyryk, zupełnie słusznie, celowo spuszcza z tonu. Wtedy powstają dla wytchnienia i igraszki, dowcipne i raczej pobłażliwie kpiące takie wiersze jak „Kabotyni" czy też nasycony lirycznym humorem „Wiosenny wiatr".

Zamiast mówić o okładce tomu „Zasady i kwasy", wystarczy tylko przypomnieć, iż projektował ją Henryk Tomaszewski.

Jan Huszcza

*) **Jan Brzechwa.** „Palcem w bucie". Wiersze satyryczne. Warszawa. „Książka", 1948; str. 77 i 3 nl.

) **Leon Pasternak. „Zasady i kwasy. Warszawa, J. Przeworski, 1948.

W poprzednim 48 (209) numerze „Odrodzenia" z dnia 28 listopada 1948 r.: **Leopold Staff:** Nowe wiersze; Wiatr koczowniczy; Wiosna; Woń zmierzchu; Opóźnionemu; Wyprzedzającemu; Wiersz. — **Julian Tuwim:** W pięćdziesięciolecie twórczości Leopolda Staffa: O „moim" Staffie. — **Jerzy Borejsza:** Na rogatkach kultury: Gościniec i pył przydrożny. — **Julian Krzyżanowski:** Droga poetycka Leopolda Staffa. — **Jaszcz:** Teatr Rapsodyczny: co z nim zrobić? — **Witold Wirpsza:** Stocznia (fragment poematu). — **György Lucacs** (przełożył **Raoul Porges**): Tydzień przyjaźni polsko-węgierskiej: O optymizmie w sztuce (Wymiana listów między pisarzami węgierskimi). — **Bohdan Czeszko:** Mikołaj, który nie zrozumiał, biedak, mechaniki dziejów. — **Anna Z. Linke:** Wystawa Simon-Pietkiewiczowej i Lenicy. — **Artur Marya Swinarski:** Chris Keller odkrywa Amerykę. — **Tadeusz Breza:** Łomnicki i jego Noe. — **Hieronim E. Michalski:** Na drodze do tematyki współczesnej. — **Maria Rzeuska:** Bibliografia Pamiętnika Literackiego. — Atmosfery literackie. — Doroczny konkurs ONZ. — **ien:** Antoni Pelc: Karykatury antyhitlerowskie. — **Polcio Stuff:** Staffiana: Sen nieurodzony; Leopold Staff. — **Stanisław Jerzy Lec:** Fraszki: Grafomanom; Pod adresem Noego; Do satyryków; O sercu; O względności. — **Jan Kott:** Korespondencja: „...Przyznać muszę rację..."

LUDWIK HIERONIM MORSTIN

Literatura grecka

Zeszłego roku na łamach „Odrodzenia" zdawałem sprawę z części I „Literatury hellenistycznej" Tadeusza Sinki. Dziś ukazała się część II, w przygotowaniu jest część III i IV i w ten sposób, gdy ją dodamy do istniejącej już „Literatury niepodległej Grecji" ukończone będzie to dzieło obejmujące pełną „Historię literatury greckiej" dzieło jakim mało który z narodów poszczycić się może.

Chwilowo pragnę się zająć świeżo wydaną przez Akademię Umiejętności Tadeusza Sinki: „Literaturą grecką", tom II. Literatura hellenistyczna część II, wiek I przed Chrystusem.

W pierwszym zaraz rozdziale zajmuje się autor Pozydoniuszem mało znanym, a po Arystotelesie najwszechstronniejszym filozofem greckim. Urodził się około 135, dokładnie nie wiemy kiedy, pochodził z syryjskiej Apamei. Po różnych perygrynacjach na stale osiadł na wyspie Bordos w głównym centrum ówczesnej nauki greckiej. Był on jak stwierdzają nowsze badania przełomową postacią w dziejach myśli greckiej. W tym pół Greku pół Semicie grecki sposób myślenia łączył się ze wschodnim. Stąd niektórzy uczeni uważają go za zwiastuna nowej ery filozoficzno-religijnej, za tego, który przygotował systemy tej ery: nowopitagoreizm i neoplatonizm. Inni jak Reinhardt energicznie protestują przeciwko popularnemu dopatrywaniu się w rzekomym mistycyzmie Pozydoniusza podłoża rasowego, azjatyckiego, semickiego, zakażania greckiego umysłu prawdy mistyką Wschodu.

Pozydoniusz wierzył w cuda, ale cudem było dla niego życie przyrody, jako ciało uduchownione i ożywione przez siły elementarne, kosmiczne.

Sinko jak zwykle tak i w tym wypadku cytuje opinie sprzeczne w tzw. kwestii Pozydoniańskiej nie stając po stronie jednych ani drugich, natomiast sam daje dokładny rozbiór twórczości filozofa w dziedzinie astronomii, meteorologii, geografii, historii, psychologii i etyki. Zadziwia nas nie tylko ogrom wiedzy tego greckiego mędrca, ale przede wszystkim słuszność jego obserwacji przyrody.

W każdym razie Pozydoniusz wyzyskał dla swojego, jednolitego poglądu na świat aleksandryjskie zdobycze nauk ścisłych i jako syntetyk ma dla epoki hellenistycznej to znaczenie, jakie dla epoki klasycznej miał Arystoteles.

Opracowanie przez Sinkę całego systemu filozofii Pozydoniusza, o którym podręczniki filozofii tak mało piszą, jest wielką zasługą.

W rozdziale II i III omawia Sinko szkoły filozoficzne I wieku przed Chr. stoików i epikurejczyków i liczne herezje tych dwóch wspomnianych systemów filozoficznych. Rozdział IV poświęcony jest historykom. Z tych ostatnich szczególnie interesującym wydaje mi się Mikołaj z Damaszku, autor najobszerniejszej historii powszechnej w 144 księgach, złączony losami życia z Herodem Wielkim znanym nawet dzieciom z biblii i z szopki. Na dworze tego władcy, który jest tak ciekawą postacią historyczną, spędził Mikołaj wiele lat. Towarzyszył Herodowi w podróżach do Rzymu a później był jego posłem do cesarza Augusta. Uczył Heroda filozofii, ale nie bardzo cierpliwego miał ucznia. (władcy mają za wiele dóbr, których używanie zmienia ich usposobienie) później retoryki i historii. Z tych lekcji historii wyszedł pomysł napisania dziejów świata, do czego zachęcił Mikołaja Herod Wielki.

Mikołaj obcował więc z możnymi tego świata, bo zyskał sobie także przyjaźń cesarza Augusta, który nazwał syryjski gatunek daktyli (robiono z nich pierniki „płakuna") mikołajkami, jako że Mikołaj był wysmukły, słodki i rumiany.

Rozdział następny mówi o genezie romansu greckiego. Dowiadujemy się w nim, że szkolne opowiadania fabuł komediowych były początkiem powstania romansu. Daje w nim także autor charakterystykę romansu greckiego. Przy tej sposobności pragnę zwrócić uwagę na świeżo wydany przez „Wiedzę" romans grecki „Dafnis i Chloe" świetnie przełożony przez Jana Parandowskiego. Jest to utwór z epoki późniejszej. Parandowski przypuszcza, że wyszedł w pełni wieku IV, może w okresie tego osobliwego renesansu bogów antycznych za cesarza Juliana. Ale czytając tę przecudną opowieść miłosną z wyspy Lesbos, a przeczytać ją powinien każdy dziś, gdy w tak mistrzowski sposób została przyswojona literaturze polskiej, warto sięgnąć do literatury Sinki mówiącej o genezie romansu greckiego i dodajmy europejskiego. Sinko uzasadnia nam szerzej to, o czym wspomina w przedmowie do „Dafnis i Chloe" Parandowski, mówiąc iż tragedie Eurypidesa i komedie szkoły Menandra wywarły wpływ na kształtowanie się szablonu fabuły powieści greckiej. A jeżeli kogoś gniewa np. u Sienkiewicza ten szablon tematu: zawsze miłość z przeszkodami, porwania, najazdy i w końcu szczęśliwe zawarcie małżeństwa, niech sobie uświadomi, że jest to wpływ romansu greckiego na literaturę europejską. Kunsztowna *retardacja*, która była przez greckich romansopisarzy wypróbowaną metodą trzymania uwagi czytelnika w rozkosznym napięciu i oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków, nie zawodzi nawet po dwudziestu wiekach twórczości literackiej.

Rozdział VI daje charakterystykę poetów z I wieku. A więc Mellagera z Gardary, Archiasa z Antiochii, który był improwizatorem. Coś jak Deotyma — mówi Sinko — bo pisał także elegie historyczne. Improwizował w Rzymie, dokąd przybył z rodzinnej Antiochii, wielką ilość wyborowych wierszy o współczesnych zdarzeniach.

Krinagorasa z Mityleny — grecki ten poeta bawił na dworze Augusta. Epigramatami czcił różne wypadki w cesarskiej rodzinie. A więc pierwsze postrzyżyny brody Marcellusa wracającego z Hiszpanii na ślub z córką Augusta Julią. Siostrze Marcella Antonii posłał na urodziny *w zimie* wieniec róż z następującym wierszykiem:

Dawniej na wiosnę kwitnęłyśmy róże,
dziś w środku zimy otwieramy serca,
dzień twych urodzin witamy
w purpurze
tak niedaleki ślubnego kobierca
wolimy bliskie być twojej urodzie,
niż słońca czekać w wiosennej
pogodzie.

Ma się ochotę zawołać czytając te grzeczności greckiego dworaka: A cóż za Wersal!

Nie piszę naukowej recenzji o książce prof. Tadeusza Sinki. Chciałbym tylko zachęcić szerokie koła inteligencji do czytania jej i wykazać, że każdy, nie tylko filolog znajdzie tam wiele interesujących szczegółów. Będzie przez kilka wieczorów obcował z ludźmi minionych wieków, których umysł zaprzątały te same zagadnienia, które nas niepokoją.

W zakończeniu daje Sinko rzut oka na trzy wieki literatury hellenistycznej. I dochodzi do takich wniosków:

W nauce powstała nowa epoka panowania książki i pracowni naukowej. Takiego bowiem warsztatu pracy jak muzeum i Biblioteka Aleksandryjska nie było przedtem na świecie. Powstaje typ uczonego, specjalisty, zawodowca. W poezji — nie stworzono już nic tak wielkiego, jak w epoce niepodległości.

Dlaczego? Tutaj Sinko cytuje Mickiewicza, który pisząc o poezji z wieku Ptolomeuszów mówi, że przeszła w zabawę erudytów i próżniaków, gdy poezja klasyczna była potrzebą narodową. Poeci z tego wieku słabo, niesmacznie, więcej uczenie niż poetycko, naśladowali dawniejsze wzory klasyczne. Sinko broni poezji hellenistycznej i stara się wykazać, że dążyła do oryginalności. Dążenie to objawiało się w szukaniu nowych form literackich, w zachwycie nad pięknem przyrody, w uwzględnieniu pierwiastka ludowości jako tematu literackiego, w sięganiu do powieści gminnej, do źródeł tradycji ludu, tego, którego przedstawicieli w pasterzach italskich wprowadził Teokryt do swych idyl, stylizując pieśni gminne nieznane literaturze klasycznej.

Kończy swoje rozważania Sinko następującą syntezą: kosmopolityczny, czy uniwersalistyczny hellenizm dokończywszy w I wieku przed Chr. kulturalnego podboju zwycięskiego Rzymu sprzągł Zachód ze Wschodem w jedność kulturalną grecko rzymską. Podstawą średniowiecznej i nowożytnej Europy stała się nie bezpośrednio ściśle narodowa kultura epoki klasycznej, ale grecko-rzymska kultura hellenistyczna.

Ludwik Hieronim Morstin

POEZJA

„POWRÓT DO MIASTA"

Stanisława Ziembickiego

„Więc jak z tą cegłą? O zburzonej Warszawie wydał w roku 1947 Stanisław Ziembicki niesłusznie zapomniany poemat „Powrót do miasta". Poemat ten, utrzymany w stylu wizyjnego baroku, panującym wśród młodych poetów warszawskich za okupacji, powstał w tym okresie, co teka graficzna Kulisiewicza „Warszawa". W czasie zatem, kiedy stolica była wielkim chaosem ruiny i mało kto przewidywał, że tak szybko zaprowadzi w ruinę ład — po prostu polska cegłodniówka... Dlatego też... jedna ze strof Ziembickiego w tak mistyczny sposób odbudowuje kamienicę warszawską

Patrzysz, że domu nie ma, a tu [wstaje dom —
cegły barki podnoszą, tynk z ziemi [wytryska,
pęcznieje popiół w drzewo i scho- [dy bieleją,
odłamki szkła do okien fontanną [ziarnistą
płyną i lepią szyby, jak pszczoły [blaszane,
ogień naprawia sufit, pracują po- [ciski
jak murarze i gładzą rozdziobany [komin,
odlatują i popatrz — stoi biały [dom.

Przytoczyłem tu słowa **kjw** z artykułu pt. „Cegły" („Odrodzenie", nr 43 (204) nie tylko ze względu na ich słuszność, ale przede wszystkim po to, że dają mi one okazję do zajęcia się — w nieco spóźnionym terminie — niesłusznie przemilczanym poematem o Warszawie.

Dzisiaj zmartwychwstające ulice warszawskie dają poetom coraz mniej wzruszeń takich, jakie ożywiają poemat Ziembickiego. Szuka on śladów, rozsypanych w ruinach okruchów zabitej bombami przeszłości i przystępuje do pierwszej odbudowy miasta — odbudowy w marzeniu.

Ukrytą w ruinach treść, cegły nasiąknięte wspomnieniami, okruchy gruzu, z których każdy jest relikwią i śladem nieistniejącego, zbiera poeta pieczołowicie podczas wędrówki po ruinach swojej dzielnicy. Tak, właśnie — **zbiera okruchy.** Nie daje poemat monumentalnych scen zniszczenia, nie pokazuje dzielnicy ruin „z lotu ptaka". Ziembicki tworzy **poetyckie miniatury,** t.zn. widzi i pokazuje drobniutkie wycinki, maleńkie fragmenty, które odgrywają rolę poetyckiej **pars pro toto.** Właśnie to widzenie całości poprzez drobiazgi nadaje poematowi odkrywczy poetycko koloryt oraz wsącza weń wyraźnie dającą się wyczuć, bolesną żarliwość poszukiwacza zatartych tropów, który, pochylając się, znajduje je, niepozorne i drobne, w pyle u swoich stóp. Cały niemal poemat zbudowany jest z tych drobnych odłamków:

Odszukam pod trzewikiem odłamki [kawiarni,
rudy grzebyk fryzjera i okruchy [sklepów.

Jednakże tendencja do poetyckiej miniatury nie ogranicza się tutaj tylko do dostrzegania rzeczy małych, lecz również **zmniejsza, zdrabnia.** Dążności tej sekunduje konsekwentnie inna rzucająca się w oczy cecha formalna: ciągłe zdrobnienie rzeczowników. A więc np: światełko, kropelka, rybka, knajpka, pchełka, skrzydełka, wróblik piąstka, ścieżynka itp. Przykładem zmniejszania obrazów czy przedmiotów, w celu dopasowania ich do ram miniatury, jest choćby druga część pierwszego rozdziału „Powrotu do miasta":

Tam Wisła. Leży cicho jak ręka [kobieca
na plaży, chociaż zdjęte są pierś- [cienie lamp.
Pochylony nad brzegiem wodę spi- [ja most
jak ptak, co dziobek ociera w pa- [zurki
i ciągle nie odfruwa.

Nie tylko poszczególne słowa, przedmioty i obrazy podlegają u Ziembickiego zdrobnieniu; również niektóre wątki fabularne poematu są wyrazem tych samych tendencji. Najwyraźniej chyba występuje to w rozdziale XIX, gdzie poeta widzi w strudzonej podeszwie swego buta odciśnięte „całe to miasto... jak profil przyschnięty na ściętym pniu". Zagłębiając się jeszcze dalej w konsekwencje tej metafory, która jakby już wykracza poza ramy jej przysługujące i staje się metamorfozą, poeta przestaje widzieć but, który stał się tymczasem czymś więcej: symbolem zrujnowanego miasta, a zarazem jego miniaturą. Wreszcie, w ostatnich słowach rozdziału, następuje jakby przebudzenie — but okazuje się tylko butem i poeta kończy trzeźwo realistycznym stwierdzeniem: „Lecz chciałem tylko kamyk i piasek wydobyć".

Pewien dystans między przeżyciem, a jego artystycznym wyrazem — dystans w czasie — pozwolił Ziembickiemu na wyzbycie się szkodliwego patosu, dał mu możność kunsztownego wyrażenia „wizji", pozwolił na „luksus" wyobraźni ujętej w karby poetyckiego rzemiosła, co bardzo rzadko zdarza się wierszom powstającym w ogniu. Dlatego też, pomimo wielu głęboko wzruszających momentów, poemat Stanisława Ziembickiego nie jest bolesnym, rozdzierającym szaty trenem, w którym poeta, znajdujący się jeszcze w samym centrum cierpienia, nie umie i nie chce „pisać kunsztownie i pięknie" (Pasternak). „Powrót do miasta" pełen już spokoju i równowagi, jest pomnikiem na grobie wspomnień i poległych przyjaciół. Niech mi wolno będzie wyrazić mocną nadzieję, że jest to pomnik trwały.

Egzotyzm ruin jest dostrzegalny dopiero wtedy, kiedy ruiny te wystygną i przestaną boleć. Świadomość prawdziwej, tragicznej treści ruin nie pozwala na odkrywczo-estetyczne spojrzenie. I nieraz poeta zatrzymuje się u progu jakiejś metafory, aby stwierdzić tę niemożność uwierzenia zaskakującej świeżością przenośni, wobec zbyt bolesnej i zbyt oczywistej prawdy:

. . . . . ., a mała wanienka
płynie ponad dachami jak łódka [niebieska
i gdybym sam nie wiedział, może- [bym pomyślał,
że to jest morski cmentarz, co na [dno powietrza,
jak w tonie zielonkawe z powie- [rzchni nieba spadł.

„I gdybym sam nie wiedział..." Ale wie i ta świadomość wyciska swe piętno na każdym obrazie poematu, a raczej — prawie na każdym. Bo w dążności do zobiektywizowania przeżyć, do usunięcia swej osoby w cień, stworzył poeta coś, co wydaje mi się zgrzytem tego poematu. Jest to zjawiający się w paru miejscach chłodny, kamienny podmuch zbytniego obiektywizmu tam, gdzie do tragicznej, bolesnej treści jakoś nie przystają zbyt ciepłe, zbyt wyszukanie kolorystyczne akcenty formalne.

Barokowość stylu, pewne przeładowanie zdobnicze, wywołuje chwilami uczucie estetycznego przesytu. Pod tym względem „Powrót do miasta" świadczy, że Ziembicki nie dopracował się w nim jeszcze prostoty formalnej i znajdując się dopiero na etapie drogi do niej, gubił się często w nadmiernie spiętrzonych ozdobnikach, wśród których nieraz zatracał się główny nurt poematu.

Poprzez cały poemat wyraźnie przebija naczelna zasada poetyckiego tworzenia u Ziembickiego: poetycka **mityzacja rzeczywistości.**

Grzebiąc się w ruinach, poeta układa okruchy w legendę i tak z chaosu wyłuskuje sens, nazywa i konstruuje mit zburzonego miasta, a raczej długi szereg mitów poetyckich. To nie jest zarzut, to tylko stwierdzenie faktu oczywistego. Poezja wbrew temu, co się jej chętnie postuluje, nie może i nie powinna bronić się przed mitologią, jeśli chce pozostać sobą. Znakomity pisarz polski, zamordowany przez Niemców w 1942 roku Bruno Schulz pisał w artykule pt. „Mityzacja rzeczywistości":

...„dążność słowa do mateczników, jego powrotną tęsknotę, tęsknotę do praojczyzny słownej, nazywamy poezją. Poezja — to są krótkie spięcia sensu między słowami, raptowna regeneracja pierwotnych mitów... Poezja odpoznaje te sensy stracone, przywraca słowom ich miejsce, łączy je według dawnych znaczeń. U poety słowo opamiętuje się niejako na swój sens istotny, rozkwita i rozwija się spontanicznie według praw własnych, odzyskuje swą integralność. Dlatego **wszelka poezja jest mitologizowaniem,** dąży do odtworzenia mitów o świecie".

Zatrzymałem się przy mityzacji w poezji, popierając swoje tezy cytatem z najwybitniejszego mitologa w literaturze polskiej, ponieważ sądzę, że sprawa ta jest jedną z najistotniejszych i najbardziej charakterystycznych dla „Powrotu do miasta" Chcąc przytoczyć mitologię z „Powrotu do miasta", trzeba by było zacytować niemal cały poemat, poprzestańmy więc na jednym fragmencie, w którym mit nie zawiera się jedynie w jednej, czy paru kolejnych metaforach, lecz jest kunsztownie skonstruowaną, szeroką historią:

Ale można iść dalej i szukać palca- [mi
w powietrzu wszędzie łukiem roz- [wieszonych strun,
jakie w nim zostawiły przeloty po- [cisków —
tak pająk pozostawia po sobie ni- [teczki,
lub matka, gdy na strychu uchodzi [z bielizną —
wtedy trudno przejść, głowę trze- [ba schylać wciąż
i nogi wyplątywać jak z gęstych [zasieków.

Smugi te pozostaną, jak blizny w [powietrzu,
chociaż ich już nie dojrzą oczy [przyniesione
kiedyś, przez nowych ludzi i palce [nie dotkną.
Choć dzieciom będzie trudno bie- [gać, jak pod wiatr,
bo łamiąc wciąż na drodze ślady, [jak gałęzie
przezroczyste, to przecież nie będą [rozumieć.

Nie mniej piękny jest rozdział XIII, w którym Ziembicki daje mit o poległym chłopcu, do którego zbiegają się rysowane kiedyś przezeń na murach kredą żółwie — okupacyjny symbol hasła „pracuj powoli". Od pierwszej chwili poematu aż po zamykające go „Ofiarowanie" widzimy wielką mityczną historię warszawskich ruin. Jakiż jest sens tego mitologizowania? Każdy mit, począwszy od pierwotnych mitów ludzkich i mitów dziecięcych, jest owocem dążenia do poznania sensu. Dzięki Ziembickiemu odkryty został **poetycki sens, poetycka treść** każdego okrucha bolesnych ruin.

Te **poetyckie hipotezy** nie mają pretensji do racjonalnie pojętej prawdy, ale czynią zadość prawdzie poetyckiej.

Przez poemat nie przebiega zdecydowana i konkretna fabuła. Każdy rozdział jest odrębnym wycinkiem oglądanych ruin, każdy daje okazję do innych refleksyj, przypomnień i mitów. Poeta, piszący o sobie w pierwszej osobie oraz wszędzie te same ruiny warszawskie — to jedyne powiązania poszczególnych części. Poza tym poemat stanowi serię oddzielnych obrazów, a autor podpatruje tylko ich złudne i niercalne życie, dziejące się poprzez jego wyobraźnię. Nie jest to całość fabularna, lecz emocjonalna. Pewną wyszukaność formalną w dziedzinie metafory i obrazowania dobrze równoważy język poematu: prosty, bezpośredni, niemal potoczny.

Poemat napisany jest trzynastozgłoskowcem z nieznacznymi odchyleniami od tego metrum i z wyjątkiem rozdziału XV — dziewięciozgłoskowca.

Rozdział ostatni, XXIII, jest odrębny od wszystkich poprzedzających dzięki mniej emocjonalnemu, a bardziej wzruszeniowemu charakterowi (zwłaszcza w ostatniej strofie), większej ilości asonansów oraz celowej surowości pełnych bólu słów.

Jeśli chodzi o stosunek Ziembickiego do przedmiotu poematu, to stwierdzić trzeba, że jest już dziś anachroniczny. Ziembicki zwraca się z piękną poetycką apostrofą do Wisły, aby oszkliła swym płynnym szkłem puste okna warszawskie, odbudowę domu ujmuje w formę fantastyczno - irrealnego procesu. Tym samym daje wyraz uczuciom przygniatającej bezsiły, jakie opanowywały nas pod wpływem widoku strat nie do odrobienia, jak się nam wówczas zdawało. Dziś już pełni optymizmu, jakim natchnęła nas szybko, ale „po ludzku" wstająca z gruzów Warszawa, nie zwracamy się do Wisły, lecz produkujemy szkło. Stąd właśnie bierze się również nasz krańcowo odmienny stosunek emocjonalny do tych spraw. Ale dzieło sztuki nie przemija wraz ze zniknięciem źródła jego inspiracji. Warunki, które je wytworzyły, przemijają, ale ono zostaje — jeśli jest sztuką. Dlatego „Powrót do miasta" nie zniknie pewno i wówczas, gdy w Polsce nie znajdziemy ani jednej ruiny. To m. i. właśnie różni poezję od krótkotrwałego felietonu dziennikarskiego.

„Powrót do miasta" Stanisława Ziembickiego wydany został w 1947 r. Tylko groźnemu brakowi zainteresowania poezją w naszej krytyce literackiej można przypisać fakt pominięcia niemal zupełnym milczeniem tego poematu, który bez wątpienia jest jedną z najwybitniejszych pozycji młodej powojennej poezji polskiej. Milczenie to nie jest zresztą wyjątkiem. „Dziennik Literacki" wprowadził stałą pozycję p. n. „120 wierszy o poezji", opracowywaną przez Adama Włodka, ale to jest jeszcze o wiele za mało. Zresztą niepokojące jest nie tylko milczenie krytyki, lecz — w tym wypadku — również milczenie Stanisława Ziembickiego, milczenie wobec tylu danych, aby je przerwać — zupełnie nieuzasadnione.

Jerzy Ficowski

WOJCIECH NATANSON

„KOBYŁY"

Według zgodnych opinij naszych wydawców, księgarzy i kierowników wypożyczalni — powieść, aby mieć powodzenie, musi być gruba. Chodzi nie tylko o tak zwany ciężar gatunkowy (choć i on ma swoje znaczenie: książki wartościowe cieszą się o wiele większym powodzeniem, niż kryminały i sensacje!). Ale pominąć także nie wolno — ciężaru fizycznego. Sukcesy odnoszą eteryczne kobiety; powiewne książki, choćby nawet bardzo dobre, nie budzą uznania. Znam doskonałą, zabawną, zajmującą, leciutką powieść humorystyczną. Nabywca i czytelnik odmawiają zakupu: książka ta ma zaledwie sto stronniczek niewielkiego formatu; jest zbyt cienka.

Czy dzieje się podobnie za granicą? We Francji zapewne — tak. Wydawcy paryscy odrzucają podobno zbiory nowel, lękając się bojkotu czytelniczego. Pokrewnym zjawiskiem z dziedziny psychologii rynku jest okrzyczany przed wojną sukces „powieści — rzek" (romans — fleuves). Pokrewnym, ale nie identycznym. Czytelnik francuski lubi wracać do tego samego środowiska, do tych samych bohaterów, tych samych perypetii. Budzi w nim radość to, że książka czytana po kilku latach nawiązuje do tego co przeżył kiedyś; podobnie i we własnym życiu chętnie nawracamy do wspomnień młodości. To nie znaczy, aby Francuz domagał się naraz grubej porcji lektury, wielkiego bagażu stronic. Znam powieści francuskie, które zdobyły ogromny sukces, a są tak skondensowane — iż można je przeczytać jednym tchem, w okresie jednego lub dwóch wieczorów. Takimi są np. „Ogień" Barbusse'a, „Chéri" Colette, „Dwaj mężczyźni" Duhamela, niemal wszystkie powieści Mauriaca, „Mouchette" Bernanosa, „Cudzoziemiec" Camusa. Podobnie w Czechach: książeczki Bassa i Hoffmeistra to niewielkie, bardzo lakoniczne, bardzo skondensowane utwory. A ileż potrafił zmieścić Karol Czapek w stukilkudziesięciostronicowej epopei swego „Herdubala". Literatura rosyjska też znała zawsze utwory prozatorskie krótkie, lecz celne: wymieńmy „Sonatę Kreutzerowską" Lwa Tołstoja, pyszne nowele i humoreski Czechowa, utwory Andrejewa. Oczywiście, że są to jedynie przykłady.

Jestem daleki od twierdzenia, że polskie piśmiennictwo odznacza się specjalnym pociągiem do wielomówności. Mamy w naszym literackim dorobku wspaniałe nowele Sienkiewicza i Prusa, Struga i Szymańskiego i tylu, tylu innych. Niedawno czytałem z zachwytem opowiadanie Marii Dąbrowskiej „W piękny letni poranek", opowiadanie wstrząsające i tak głębokie — że powinno było wywołać oddźwięk najgłębszy. Byłem także gorącym zwolennikiem nagrodzenia noweli Pytlakowskiego „24 godziny śmierci" i „Polskiej wiosny" Skierskiego, dwóch utworów — które tak głęboko i w tak niewielu słowach przeniknęły niedawne przeżycia wojenne. Powiem więc od razu, że to nie piśmiennictwo polskie odznacza się niechęcią do rzeczy krótkich. I nie publiczność nasza jest głównym źródłem owych nastrojów. Myślę, że przesąd o konieczności wydawania tak zwanych „kobył" narzucili nam — powierzchowni, zbyt lękliwi i zbyt nerwowi, obserwatorzy.

Marynarze przed wyruszeniem na wyprawę, żołnierze przed bitwą, lotnicy przed startem i sportowcy przed zawodami, dziwnie są podatni na sugestię zabobonu. Podobnie i specjaliści kolportażu książkowego! Wiadomo, że przed wojną żaden wydawca nie chciał ogłaszać utworów scenicznych, gdyż utrzymywała się wersja, że „to nie idzie". Ten przesąd sprawił nie lada spustoszenie: zaginęło na przykład kilka sztuk Szaniawskiego, gdyż z całej twórczości tego pisarza wydano przed wojną zaledwie 3 utwory. Przesąd ten był nieuzasadniony. Antoni Trepiński wykazał kiedyś na łamach „Listów z Teatru", że dramaty Wyspiańskiego, wydawane przez samego poetę rozchodziły się zupełnie dobrze. Po wojnie, gdy zaczęto publikować większą ilość utworów dramatycznych, powodzenie ich przeszło wszelkie nadzieje. Spółdzielnia „Czytelnik" w Krakowie (tzw. „Mały Czytelnik") choć nie rozsyła nawet egzemplarzy recenzyjnych, osiągnęła niemały sukces kasowy swą serią dramatyczną. Tak samo „Wiedza", Kuthan i „Sztuka". Czas obecnie na przełamanie innego przesądu: że publiczność nie chce czytać dzieł teoretycznych ani essayów. Jak mi wiadomo, rzadko która książka cieszy się takim sukcesem jak „Pograniczе powieści" Kazimierza Wyki.

Cóż więc będzie z owym trzecim jeszcze przesądem dotyczącym ciężaru powieści? Czy nadal będziemy kupować na kilogramy, a nie według innej, subtelniejszej skali wartości? Przed wojną różne firmy wydawnicze (np. „Rój") sztucznie „poszerzały" książkę, starając się o grubszy papier, większe czcionki, duże marginesy, spore interlinie. Niewątpliwie, ułatwiało to lekturę —i wcale nie byłbym przeciwny takiej higienie czytelniczej, zwłaszcza — że wpływa ona nieraz pomyślnie na wygląd estetyczny. Ale nie lękajmy się — zasadniczo, czy programowo — utworów krótkich.

Epidemia przesądów tego rodzaju szerzy się i w innych dziedzinach. Uczeni wolą być autorami prac grubych, nie krótkich — co nieraz utrudnia lekturę najlepszych dzieł historycznych czy socjologicznych. W teatrze przesąd „długości" wywiera wpływ fatalny na los utworów jednoaktowych. Dlatego widujemy tak rzadko małe arcydziełka fredrowskie: „Zrzędność i przekorę" czy „Świeczka zgasła". Dlatego nie gra się nigdy, wcale nie godnej pogardy, „Podróży z Przemyśla do Przeszowy". Dlatego trzeba przyklasnąć inicjatywie Schillera, który postanowił inscenizować „Złotą czaszkę" Słowackiego (a także amputowanych z winy dawnych francuskich dyrektorów teatru — „Konfederatów barskich" Mickiewicza). Można by też, myślę, zainteresować się krótkimi jednoaktówkami pisarzy współczesnych.

Jeszcze słówko. Nasze tygodniki literackie podobne są nieraz do miesięczników: pełno w nich „kobył", zdarzają się całostronicowe lub nawet wielostronicowe wywody. Inaczej — we Francji. Odbyła się tam w okresie ostatnich lat kilkunastu wyraźna ewolucja. Dzienniki przynoszą przeważnie materiał informacyjny, tygodniki — króciutkie felietony i żywe kroniki, z rzadka tylko przetykane utworem dłuższym. Na większe kompozycje jest miejsce — w miesięcznikach, które się czyta spokojnie, jak książkę. My posiadamy zapewne zbyt małą ilość słabo kolportowanych miesięczników — stąd pochodzi owo pomieszanie zakresów działania.

Ale są i inne powody. Nawet w tych pismach, które przyjęły zasadę ryczałtowego honorowania autorów i uniezależnienia się od krzywdzącej czasem „wierszówki" — pisarze, jak ognia, boją się zwięzłego formułowania. Nie chcą wierzyć, iż krótki artykuł łatwiej i pewniej działa na czytelnika, że zwięzłość jest więc pożyteczna nie tylko dla redakcji — ale i dla twórcy felietonu, artykułu czy essayu.

Nic dziwnego — bo doświadczenie uczy, że w pewnych kołach utwory krótkie są lekceważone, czy ignorowane. Kto napisze długo i rozwlekle, doczeka się na pewno komplementu czy wzmianki. Artykuł krótki przejdzie bez śladu, bez echa.

A więc mam z czystym sumieniem doradzać pisanie utworów krótkich? Kto wie, czy nie byłby to machiawelizm... Zwłaszcza, że i ten właśnie artykuł rozrósł mi się jakoś pod piórem. A więc może prawdziwe byłoby zdanie, że „my Polacy lubimy „kobyły"...

Wojciech Natanson

Zawiadamiamy, że Dział Prenumeraty został przeniesiony do nowego gmachu przy placu Trzech Krzyży 16. (Nr telefonu 8-10-26).

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA"?

Redakcja „ODRODZENIA" zawiadamia, iż numer gwiazdkowy działu „Sztuka dla dzieci i młodzieży" poświęci omówieniu nowości wydawniczych dla dzieci i młodzieży. W związku z tym zwracamy się do wydawnictw z prośbą o nadesłanie nam swych gwiazdkowych planów wydawniczych oraz egzemplarzy recenzyjnych.

LITERACKA SAMOKRYTYKA

Nic nie pomoże ironiczny śmiech,
Nic nie pomoże też tragiczny płacz,
Kiedy poetę prześladuje pech.

Patrz:

Zacząłem pisać wiersze żołnierskie,
Lecz znacznie lepiej zrobił to Broniewski.

A więc runąłem w nonsensu mur chiński,
Ale ten labirynt już zajął Gałczyński.

Runąłem w satyrę zjadliwą i ciętą,
Lecz na drzwiach karteczka: Minkiewicz. Zajęto!

Zacząłem o sporcie. Sport mnie zawsze mamił,
Aż tu Iwaszkiewicz wyskoczył z Odami.

Więc przestałem pisać. Wiersz mój zaniemówił,
Ale znacznie lepiej milczy Julian Tuwim.

Józef Prutkowski

KRONIKA TEATRALNA

„Odwety" Leona Kruczkowskiego w Pradze czeskiej. Na zdjęciu z prawej znakomita czeska aktorka dramatyczna i filmowa Blanka Walewska jako Sabina, żona Okulicza

„Strzały na ulicy Długiej" Anny Świrczyńskiej we Wrocławiu Na zdjęciu: Janina Martynowska, Mieczysław Serwiński i Adolf Chronicki

SPROSTOWANIE

W moim artykule *„Chris Keller odkrywa Amerykę"* w n-rze 48 „Odrodzenia" przestawiono kilkanaście wierszy, na skutek czego dwa ustępy straciły całkowicie sens. Podaję obydwa ustępy w brzmieniu prawidłowym.

Ustęp czwarty:

„Sztuka napisana w najlepszej intencji, ale zbyt ostrożna; i zbyt wadliwa. Polscy autorzy piszą inteligentniejsze sztuki. Cała problematyka „Synów" tonie w kryminalnym melodramacie. Rzemiosło bardzo nierówne; obok kilku mocnych scen dużo banału i naiwności. Ekspozycja przewlekła, ale też zadanie postawił sobie autor trudne: wszystkie osoby na scenie znają przeszłość wszystkich osób, a jest ona tak przykra, że niechętnie o niej mówią; więc dla zaznajomienia nas z tą przeszłością potrzebny autorowi cały długi i nudny akt — w polskim egzemplarzu jest tego czterdzieści cztery strony gęstego maszynopisu, podczas gdy całość „Strzałów na ulicy Długiej" Świrszczyńskiej zmieściła się na czterdziestu stronicach; i pomyśleć: kobieta, a taka małomówna!"

Ustęp siódmy:

„Odkąd *Ewa Kunina* zaczęła snuć przed nami swoją legendę o powrocie zaginionego syna, przypuszczaliśmy, że zobaczymy jeszcze jeden *Powrót*. Ale programy teatralne psują nam prawidłowe „poznawanie" utworów. Gdy w sztuce Rusinka mąż i panna szeroko rozprawiali o śmierci żony, niejeden z widzów zerknął do programu i pomyślał sobie: aha, żona jest w spisie osób, więc żyje, wróci i zrobi awanturę. Podobnie tutaj. Widz nie znajduje imienia syna w programie: — więc syn nie żyje, nie wróci — a matka?... *idée fixe*, czyli jeszcze jedna kobieta „we mgle". Kunina wszystkie stany, oblicza i maski pani Keller, od tej mgły poprzez sztuczki dyplomatyczne do ostatecznej rozpaczy, zademonstrowała sugestywnie, z dyskretnym odważaniem efektu".

A. M. Swinarski

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Jerzy Ficowski za wycinek z „Dziś i Jutro". (Adres ob. Ficowskiego nieczytelny, nagroda do odebrania w redakcji).

Krótka rozprawa między trzema osobami: panem (Kisielewskim) wójtem (Jakimiakiem) i plebanem (ks. Lorensem)

Jakimiak (contra Kisielewski):

Katolickość nasza jest bardzo problematyczna: pisać o niej, gadać, demonstrować ją zewnętrznie — owszem ale w praktyce, kto liczy się z wiecznością? komu zależy na stałym pozostawaniu w łasce poświęcającej? Pogrążeni w materializmie, gonimy tylko za doczesnością, a kto myśli o pracy nad zbawieniem swej duszy? Bijemy brawo encyklikom papieskim, czy też enuncjacjom Episkopatu, gdy te poruszają sprawy społeczne lub państwowe, lecz na wezwania Kościoła do pokuty, do reformy obyczajów — odpowiadamy milczeniem. Przestrogi Chrystusowej: „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego"... bezkarnie ignorować nie można. Pokój, wolność, unormowane stosunki społeczne, pomyślność doczesna — to owoc błogosławieństwa Bożego, to nagroda za ścisłe przestrzeganie zasad Dekalogu i całej moralności chrześcijańskiej.

Kisielewski (contra Jakimiak):

„W epoce, gdy kolosalne trudności społeczne, jakie stanęły przed ludzkością, rozwiązywane są na drodze gospodarki planowej (wszak amerykanizm nie jest również niczym innym, jak kapitalizmem planowym, w epoce, gdy planowość ta podbija coraz to nowe dziedziny, z kulturą, sztuką i wychowaniem włącznie — w epoce tej przed katolicką koncepcją wolnej woli i personalizmu, koncepcją stanowiącą nieodłączny, zasadniczy składnik nauki chrześcijańskiej staje najcięższy, najbardziej ważki problem, jaki napotykała ona na przestrzeni wieków: Jak pogodzić nowoczesne koncepcje planowania we wszystkich dziedzinach — z ideą indywidualnej drogi moralnej i życiowej każdej jednostki, z ideą wyboru własnej, w ramach katolicyzmu, koncepcji dążenia do Prawdy, poprzez indywidualny wysiłek duchowy — oto jest, wydaje mi się, najważniejszym problemem katolickiej myśli społecznej w dniu dzisiejszym. Ważniejszego w tej chwili nie widzę, jeśli p. Jakimiak widzi, niechże go wskaże".

Ks. Lorens (contra Jakimiak):

Nie będzie może miał nic przeciwko temu p. Jakimiak, że go wyręczę i oznajmię p. Kisielewskiemu, że duch Chrystusowy nie pogodzi się nigdy z duchem tego świata, bo pogodzić się nie może. Przeczekał już Kościół wiele systemów politycznych, filozoficznych i społecznych, to i światoburcze rzekomo dzisiejsze „planowania kultury, sztuki i wychowania włącznie" przeczeka... a swojej indywidualnej drogi moralnej i dążenia do Prawdy od żadnego planowania uzależniać ani uzgadniać z nim nie będzie. Godzenie więc nauki chrześcijańskiej z modnym dziś „planowaniem" nie jest nie tylko „najważniejszym" problemem katolickiej myśli społecznej, ale wcale nie jest katolickim problemem, a zatem zmartwienie p. Kisielewskiego jest całkiem zbyteczne... Są natomiast inne, ważne istotnie problemy. Objawiająca się w ostatnich czasach Matka Boska uzależnia ocalenie stojącego nad przepaścią świata nie od żadnych „planowań", ale jedynie od modlitwy i — co pan powie — od pokuty... Jeśli świat tego nie pojmie i do tego się nie zastosuje, zginie niechybnie. Powie pan może, że to też tylko — beztroska ignorancja i ciasnota horyzontów, ale mniejsza z tem. Mnie chodzi o jaskrawe podkreślenie czynników, bez których życia religijnego w ogóle nie ma. Intelektualizm katolicki, społeczne tendencje — zgoda, ale na podłożu codziennej praktyki.

I jeszcze jedno. Radzi pan p. Jakimiakowi, aby sobie przeczytał książkę czołowego na Zachodzie ideologa neoliberalizmu Wilhelma Röpke p.t. „Kryzys społeczny naszych czasów", a ja bym Panu radził przestudiować gruntowniej mały katechizm i w dodatku o objawieniach Matki Boskiej w Lourdes i w Fatima, gdzie nie ma wprawdzie szumnych frazesów, ale za to znaleźć tam można jedyne rozwiązanie wszelkich zagadnień socjologicznych, względnie warunków, pod jakimi rozwiązanie to nastąpić może.

Pragnąc ze swej strony pomóc Kisielewskiemu w studiowaniu „cudów" i „objawień", zalecanych przez ks. Lorensa reprodukujemy jako „pomoc naukową" jeden z licznie kolportowanych w Poznaniu obrazków:

ŚWIĘTA TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS
ukaże się oczom twoim!

Zatrzymać wzrok przez parę sekund na białych trzech kropeczkach; przenieść następnie spojrzenie na ścianę lub błękit nieba; po małej chwili ujrzysz ukochaną świętą!

(Rozrywki niedzielne)

Obywatelu Kisielu! Zaprzestańcie studiów nad Wilhelmem Röpke! Źle dzieje się w obozie, w którym każdy sobie Röpke skrobie! Zatrzymajcie — raczej — wzrok przez parę sekund na białych trzech kropeczkach, przenieście następnie spojrzenie na ścianę lub błękit nieba...

Uparty Korwin

Prozie ob. Jerzego Korwina poświęciliśmy już dwukrotnie skąpe łamy naszego działu. Ostatni odcinek „Zabójstwa Waldemara Glücka" zamieszczony w „Głosie Robotniczym" z dnia 22 listopada 48, może być jeszcze jednym przykładem słuszności zasady, w myśl której nie sposób uniknąć nowych błędów bez szczerego przyznania się do uprzednio popełnionych. Ob. Korwin nie przyznał się. Niechże ma teraz pretensje do siebie:

Poszedł w ślad za nimi i znalazł się pośrodku drzew lipowej alei.

Drzewa sadzone były gęsto wzdłuż ściany bardzo rozległego parku, wskutek czego zdawało się, że nad jezdnią ze zwisających nad nią lamp elektrycznych mżył nieustannie jak rozpylony popiół szary mrok, gdy pod koronami lip całkowicie zapanowała drżąca czerń gęstych cieni. Siedzące na ławkach pary bez obawy mogły oddawać się bardziej namiętnym flirtom, toteż wzdłuż całej alei niósł się stłumiony pocałunkami szept namiętności, przerywany od czasu do czasu perlistymi wybuchami śmiechu lub piskliwymi okrzykami podniecenia. Te odgłosy wywoływały prawie natychmiast nowe myśli, coraz bardziej dokuczliwe i okrutne. Wsłuchując się w gruchania ludzkie z mroku lip łatwo można było dojść wielu ich przyczyn. Ręce i usta mężczyzn nie były tu napewno spokojne. Zabrzmiał oto nagle zagotowany w gardle bardzo egzaltowany śmiech, niewątpliwie skutek śmiałych i odkrywczych ramion oraz dłoni. A teraz zabrzmiał znów pełen niespokojnej emocji ostry pisk po drapieżnym pocałunku w szyję. Znał to wszystko jakże dobrze! Od najwcześniejszych lat życia, które w Łodzi nigdy nie dawało złudzeń, a przeciwnie ujawniało skwapliwie wszystkie tajemnice płci, każde dziecko znało prawdziwe oblicze miłości. Rzeczywistości nie zdołała zasłonić żadna legenda, którą w innych środowiskach ze świadomości dzieci wypierało dopiero późniejsze życie. Szlachetniejszych form współżycia trzeba się było dopiero uczyć z narastającym wiekiem i to tylko wtedy, gdy nadarzały się po temu odpowiednie warunki. (mieszkanko mieć, tapczanik mieć, poduszek na nim cały stos... — przyp. nasz)

Niepokoiło go wszystko, mleczna cera bowiem, białe i delikatne ręce, prowokowały licznych gburów zwłaszcza w tramwajach, do dziwnych ruchów. Niejeden z nich pragnął wykorzystać tłok w ten sposób, aby przysunąć się do Krystyny blisko dla wchłonięcia w siebie ciepła jej ciała, i oddychania tchnieniem jej świeżych ust. Czy Krystyna cierpiała z tego powodu? Zastanawiał się nad tym coraz częściej, zwłaszcza, że gdy jej o tym mówił, wybuchała czasami dziwnie tryumfującym śmiechem.

...i tak dalej, z dnia na dzień, od Naci do Krystyny... od majtek do majtek...

REDAGUJE ZESPÓŁ Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13 — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO — I. 4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-65706 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".